№ 43 Warszawa, dnia 11 (23) Października roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

DWIE OFELIE.

DRAMAT W TRZECH AKTACH

przez

J. Belejowską. *)

OSOBY:

Antonia Monford, pierwsza artystka teatru Drury-Lane.
Anna Santlov, jej przyjaciółka, druga artystka.
Henryk Booth, pierwszy artysta.
Służący-Służąca.
Dixon, dyrektor domu obłąkanych w Bethlem.
Julja, jego żona.
Taylor, naczelny lekarz zakładu.
Jervis, pastor, kapelan zakładu.
Sunday) **Brown**) dozorcy zakładu.
Jerzy III-ci król Anglii.
Królowa, Szambelan, Doktór, dworzanie.
Artyści i artystki grający Hamleta.

Rzecz dzieje się w Anglii, za panowania króla Jerzego III-go.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

(Wytwornie umeblowany buduar Antonii, w głębi drzwi balkonowe, prowadzące na balkon pod którym płynie Tamiza).

Anna (sama). A więc stało się!... biedne serce pożegnaj się z nadzieją co cię tak długo kołysała... teraz już nawet łudzić ci się nie wolno... Henryku! Henryku! więc na zawsze stracony jesteś dla mnie... dziś bierze ślub z inną! I, o! srogie szyderstwo losu! ja! ja! mam być pierwszą druchną Antonii... towarzyszyć jej do kościoła, prowadzić Henryka do ołtarza i podawać obrączki które na wieki przykują go do niej!... bo to okropnie! okropnie!... (po chwili) Przeklęte! przeklęte pieniądze! Antonia ma 500 fs. dochodu, gdybym była równie bogatą, może dziś byłabym na jej miejsce.. wszak w początku zarówno, a może więcej jeszcze mną był zajęty... ale nie mam majątku.. Lecz nie! Henryk kocha Antonią, kocha ją dla niej samej, on zanadto szlachetny aby się miał sprzedawać... Ach! gdybyż przynajmniej wiedział co ja cierpię, jak wielką miłość wzbudził w sercu mojem!... Antonia nadchodzi... dalej artystko Drury-Lane! nie zapominaj że jesteś aktorką; ułóż wesołą twarz, przywołaj uśmiech na usta, wszak powinnaś być wesołą, przecie jesteś pierwszą druchną!...

SCENA DRUGA.

Anna, Antonia.

Antonia. Anno! Anno! jakżem szczęśliwa!... Henryk przybędzie za chwilę, a za kilka godzin będzie moim, moim na zawsze!

Anna. Ach! tak... (na stronie) Niestety!...

Antonia. O! droga moja! cóż to za błogosławiona godzina, w której u stóp ołtarza przysięgamy dozgonną wierność wybranemu naszego serca, co nadaje nam prawo nosić jego nazwisko... A ja tak kocham mego Henryka! młody, piękny, szlachetny, sławny, tak powszechnie wielbiony... któraż kobieta nie byłaby dumną z jego wyboru!... Wszak prawda, Anno moja?

Anna (z ogniem). O masz zupełną słuszność!...

Antonia. Od dziś, od chwili co nas połączy na wieki, Henryk będzie moim mężem, moim skarbem najdroższym, moją tarczą i obroną... będę zawsze z nim, zawsze przy nim... będę przechadzać się wsparta na jego ramieniu... O! szczęście to odurza mnie... upaja... doprawdy chwilami lękam się aby nie oszaleć od jego nadmiaru!...

Anna (z goryczą). Płonne obawy! kto jak ty, Antonio, od kolebki prawie stąpa po ścieżce usłanej kwieciem, kto nigdy nie staczał ciężkiej walki z losem, z przeciwnościami, i stokroć okropniejszej walki z własnem sercem, nie potrzebuje lękać się szczęścia, i może spokojnie przyjmować największe dary fortuny.. Młoda, piękna, bogata, wszystko ci się uśmiecha!... przejdź tylko myślą choćby tak krótki a tak świetny twój zawód artystki. Od pierwszego prawie wystąpienia, stałaś się bożyszczem publiczności; począwszy od najwyższych do najniższych sfer społecznych, wszyscy pochylają czoła przed twoją pięknością i talentem, i dotąd ani jedno pismo, ani jeden krytyk nie poważył dotknąć cię swem żądłem.

Antonia (nie zważając z jaką goryczą mówiła Anna). Prawda! a jednak czemże jest to wszystko, w porównaniu z tem niewysłowionem szczęściem jakie mnie czeka, jeżeli...

Anna (żywo). Jeżeli?...

Antonia. Jeżeli przekonam się za chwilę że Henryk kocha mnie jak kochaną być pragnę, kocha dla mnie samej, kocha nad wszystkich i nad wszystko.

Anna. Wszak zaślubiając cię dowodzi tego.

Antonia. To nie dość.... ale dziś przekonam się o tem stanowczo.

Anna (żywo). Czybyś powątpiewała o jego miłości?...

Antonia. O nie, dzięki niebu! chwila w której mogłabym wątpić o miłości Henryka, byłaby zarazem ostatnią życia mego chwilą.

Anna. I pocóż wystawiać go na jakieś próby,

*) Dramat ten jest osnuty na tle prawdziwego zdarzenia, opisanego w pamiętnikach miss Georgiety Bellainy, słynnej artystki teatru Drury-Lane.

skoro naprzód jesteś pewną że z nich wyjdzie zwycięzko?

Antonia. Jest to nieuchronna konieczność... Nie bierz mi jednak za złe, Anno droga, że dopiero dziś wieczór odkryję ci moją tajemnicę.. muszę najpierw wyjawić ją Henrykowi.

Anna (na stronie). Tajemnica!... co to być może?... ach! czyżby właśnie w chwili gdy wszystko zdaje się straconem, jakaś blada, niedostrzeżona gwiazda nadziei błyskała mi gdzieś w oddali?... Myśli, pragnąc odgadnąć co to być może, po chwili zmuszając się do rozmowy, mówi) Nic mnie nie niepokoi ta jakaś twoja tajemnica, bo jestem pewną że nie kryje się w niej choćby najmniejsza chmurka, mogąca zasępić pogodny błękit twego szczęścia.

Antonia. Ach! prawda, jam bardzo, bardzo szczęśliwą na tym świecie... I dlatego, wierzaj mi Anno, są chwile w których przeraża mnie prawie tak nadziemskie szczęście, i zdaje mi się że los zawistny, że duchy ciemności lada dzień, lada godzina naślą kogoś co mnie jak to mówią, złem urzecze okiem, i, nie śmiej się Anno z mojej zabobonności, nieraz bierze mnie ochota naśladować starożytnych aby ustrzedz się uroku.

Anna z przymuszonym uśmiechem. Dziecko jesteś!.. Więc w jakiż to sposób starożytni chronili się urzeczenia?

Antonia. Rzucali złoty pierścień w morze lub rzekę... Pójdę za ich przykładem.

Anna. Co za szaleństwo!...

Antonia. O nie śmiej się ze mnie... (To powiedziawszy, biegnie na balkon, i przechyliwszy się przez kamienną jego balustradę, zdejmuje z palca pierścień, i rzuca go w Tamizę. W tejże chwili Henryk Booth ukazuje się w progu salonu.

SCENA TRZECIA.

Anna, Antonia, Henryk.

Henryk (zobaczywszy Antonię przechyloną po za balustradę balkonu, wydaje krzyk przerażenia). Antonia!

Antonia (biegnie prędko ku niemu). O! bądź spokojny, mój jedyny... To nic... tylko widzisz za nadto jestem szczęśliwa: lękam się urzeczenia, i dlatego dopełniam starożytnego obrządku.

Henryk. Niedobra!... jeszcze mi serce drży z przerażenia gdy ujrzałem cię tak przechyloną za balustradę... Mogłabyś wpaść w Tamizę.

Antonia (podając mu obie ręce). Przebacz, drogi Henryku! ale nadmiar szczęścia mnie przeraża, i chciałam...

Henryk (biorąc jej ręce). I ty wierzysz w takie gusła?

Antonia (patrząc nań z miłością). Alboż ja wiem sama!...

Henryk. Otóż na ukaranie za te zabobony, oznajmiam ci... że całe życie moje usilnie starać się będę otaczać cię tak wielką miłością i szczęściem, aby przy jego blasku, dotychczasowe wydało ci się zaledwie przedświtem.

Antonia. O mój ukochany!... (zwracając się do Anny, spoglądającej na nich z bolesną zawiścią). Czy słyszysz Anno?

Anna. Słyszę.

Henryk. Daruj miss Anno, nie widziałem cię i nie przywitałem, ale za to przygotowałem ci niespodziankę. Wiedząc jak lubisz taniec, prosiłem dyrektora aby mi pozwolił na dziś pięknego foyer naszego teatru, będziemy bawić się wesoło.

Anna (z goryczą). Wybornie!... rzeczywiście dziś, szczególniej jestem w usposobieniu do tańca i zabawy.

Henryk (uderzony tonem jej mowy). Co tobie, miss Anno? Tak dziwnym powiedziałaś to głosem.

Anna (zmuszając się do odpowiedzi). Nic... nic... to radość z tak miłej wiadomości,.. biegnę podzielić się nią z naszymi kolegami i koleżankami... Jaka to będzie uciecha... Wrócę za chwilę, Antonio.

Antonia (idzie za nią parę kroków). Dziękuję ci, droga Anno, odchodzisz żebyśmy zostali sami... Zaraz wyjawię Henrykowi tajemnicę o której ci wspomniałam, a która ma ostatecznie stanowić o moim losie.

Anna (po chwili namysłu). Jestem przekonana że Henryk cię kocha i wyjdzie zwycięzko z próby jakiej podobało ci się go poddać... Przypuściwszy jednak że nad wszelkie spodziewanie... rzeczy inny wezmą obrót, cóżbyś uczyniła w takim razie?

Antonia. Wiesz jak wielką, jak bezgraniczną kocham go miłością, a jednak... gdybym dostrzegła choćby najlżejsze wahanie... możeby mi serce pękło z żalu, ale musielibyśmy w tej chwili rozstać się na wieki... na wieki... Ha! straszne przypuszczenie!....

Anna (na stronie). Ach!... (głośno) Bądź spokojna! Henryk cię kocha...

Antonia. O! ja ufam mu zupełnie... Wracaj prędko Anno, dziś wieczór dowiesz się o wszystkiem.

Anna. Więc do widzenia. (na stronie) O! nie będę czekać wieczora, aby poznać tajemnicę która może stanie mi się zbawieniem. (odchodzi).

SCENA CZWARTA.

Henryk, Antonia.

Henryk (całując jej rękę). Antonio ukochana, za kilka godzin będziesz moją żoną... ty! najpierwsza artystko ozdobo naszej sceny, nad której czołem tak świetna jaśnieje aureola, i wyrzekasz się swego tak już słynnego nazwiska, aby zostać mistres Booth.

Antonia. Mistres Booth!... śliczne nazwisko; tak mile brzmi mi w uszach, jak nazwa najświetniejszej gwiazdy, jak nazwa róży, jak imię mej matki.

Henryk. Aniele ukochany!... Ale ponieważ nazwisko twoje sławniejsze jest od mego, więc zostawimy go na afiszach, tylko zamiast miss, drukować będziemy mistres Antonia Montford.

Antonia. Nie!... nie!... ja tak nie chcę...

Henryk. Ale ja chcę!... musisz mnie słuchać... wszak za kilka godzin przysięgzesz mi posłuszeństwo.

Antonia (niby gniewnie). O! mój panie! zawcześnie zaczynasz rozkazywać... nie cierpię despotyzmu.

Henryk. No, no!... nie marszcz tego pięknego czoła, da się to jakoś pogodzić, oba nasze nazwiska stać będą połączone obok siebie na afiszu, jak dziś jeszcze połączemy je u stóp ołtarza.

Antonia. O! tak to zgoda; zawsze i wszędzie razem! razem! razem!... Ach! Henryku mój! jak to dobrze że i ty jesteś artystą; gdyby najświetniejsza korona ozdabiała twoje skronie, nie byłabym tak szczęśliwą zaślubiając cię.. dziś oprócz ślubnej obrączki łączy nas jeszcze wspólny zapał i miłość sztuki, łączy nas talent, jednakie pojęcia i dążenia, oklaski i sława.

Henryk. Masz słuszność, Antonio moja. Wierzaj mi, nie ma kobiety którą mógłbym ukochać jak kocham ciebie, i gdyby nawet jakaś zaczarowana księżniczka, piękniejsza od najpiękniejszych, piękniejsza nawet od ciebie i posiadająca wszystkie skarby świata, chciała oddać mi swoją miłość i rękę odrzuciłbym je dla ciebie.

Antonia. O! powtórz mi to jeszcze.

Henryk. Czyż nie jesteś o tem przekonaną?...

Antonia. O tak! mój jedyny!... a jednak nigdy więcej nie pragnęłam usłyszeć to z ust twoich.

Henryk. Czemu?

Antonia. Bo chcę... bo muszę dziś jeszcze pomówić z tobą o prozie życia... Czy zezwalasz?

Henryk. O! dziś zezwalam na wszystko co tylko żądać możesz.

Antonia (z przymileniem). Czy dziś tylko?

Henryk. Dziś, zawsze, wszędzie i o każdej dobie; jesteś zadowolniona?

Antonia. Najzupełniej... Otóż prawo wymaga...

Henryk (odskakuje z komicznym przerażeniem). Przebóg.. zaczynasz mówić o prawie... Cóż ono nas obchodzi?

Antonia. Pozwól mi skończyć... Otóż zarówno prawo jak zwyczaj wymagają, aby przed ślubem pisać intercyzę, w której określa się posag...

Henryk. Ależ nie ma o czem mówić... Oboje pobieramy tak znaczne pensye, że już one same mogłyby zapewnić nam piękne utrzymanie... a prócz tego, jak ci wiadomo, ojciec mój jest bardzo bogaty; ty znów posiadasz 500 funtów szterlingów dochodu, które zapisał ci twój chrzestny ojciec, pan Roberts... wiem to od dawna, i niewarto dziś się tem zajmować... Ot, pomówmy lepiej jak urządzić nasz bal improwizowany.

Antonia. Nie, Henryku, musimy pomówić o moim posagu.

Henryk. Ależ, Antonio...

Antonia. Proszę cię...

Henryk (wzdychając). Słucham więc...

Antonia. Wiadomo ci że pan Roberts był to najzacniejszy w świecie człowiek, ale trochę dziwak...

Henryk. Trochę!... powiedz największy dziwak w całym Londynie. Pod tym względem posiadał ustaloną sławę.

Antonia. Zapisując mi 500 fst. dochodu p. Roberts położył warunek, który dziś dopiero wolno mi jest wyjawić ci, bo taka jest wyraźna wola testatora; warunek...

Henryk. Jakiż?

Antonia. Że z dniem pójścia za mąż, tracę prawo do uczynionego mi zapisu. . Tak więc teraz jestem niby bogatą, lecz zostając twoją żoną żadnego nie wniosę ci posagu, Henryku czy uboga zupełnie miss Antonia Montford, godna jest nosić twoje nazwisko?

Henryk. Ach! Antonio; możesz że zadawać mi podobne pytanie? Czyż nie wiesz jak wielką ukochałem cię miłością; cóż więc może mnie obchodzić czyś bogata czy uboga...

Antonia (pada na kolana składając ręce). O dzięki Ci, Panie! za to uczucie nadziemskiej szczęśliwości... jedna taka chwila, jedno o niej wspomnienie może wynagrodzić choćby długie życie cierpień i boleści... (wstaje i zwraca się do Henryka) Henryku mój! dopóką nie poznałam ciebie, byłam mierną, nieznaną aktorką, pokochałeś mnie i wzbudzając miłość wsercu mojem, jak Pigmalion zbudziłeś mię do życia; święty ogień sztuki zatlał w mojem łonie, i stałam się głośną i uwielbianą artystką.

Henryk (z niewysłowionem uczuciem). Antonio!...

Antonia. O! nie przerywaj mi, mój jedyny. Dotąd byłam tylko szczęśliwą, od tej chwili zaciągam względem ciebie dług niewygasłej wdzięczności, który mnie na całe życie czyni twoją niewolnicą. (mówi z coraz większym ogniem) Słuchaj, Henryku, gdybym kiedykolwiek mogła o tem zapomnieć, gdybym przestała cię kochać... o! wtedy zwiąż mi ręce, obetnij włosy i oddaj do tego strasznego zakładu, który zwiedzaliśmy tylokrotnie aby studyować z natury objawy obłąkania gdy ty miałeś grać Hamleta

a ja Ofelię. O tak! oddaj mię do domu waryatów, a przysięgam ci że nie będę się opierać... pozwolę się zamknąć i głowę okładać lodem, powtarzając tylko: zasłużyłam! zasłużyłam!... (gorączkowo) Ale co ja mówię!... skąd mi to nawet do głowy przyjść mogło?... O bądź spokojny! ja nigdy nie stanę się winną takiej zbrodni, zawsze, zawsze kochać cię będę; tak jak dziś cię kocham, drogi, ukochany mój Henryku... Jakże ty jesteś dobry!... żenisz się ze mną chociaż żadnego nie posiadam majątku... teraz więc wszystko od ciebie dostawać będę, suknie, koronki, klejnoty...

Henryk (przerywając). Uspokój się, mój aniele. Ach jakżem dumny z takiej miłości! (okrywa jej ręce gorącemi pocałunkami).

Antonia. Ale co mi po strojach! co mi po klejnotach!... nic nie żądam, nic nie pragnę, tylko takich serdecznych, gorących pocałunków... O! to najpiękniejsze dyamenty, to perły najczystszej wody, jakich tylko zapragnąć i chlubić się może kochająca kobieta!

Henryk. O! bądź pewna, Antonia moja! że podobnych klejnotów nigdy ci nie zbraknie... A teraz muszę cię opuścić na chwilę, idę do notaryusza...

Antonia. Ach! prawda, trzeba zmienić intercyzę... nie można zamieszczać że posiadam 500 fst. dochodu...

Henryk (przerywając). Przeciwnie, właśnie chcę ci je zapewnić; powinienem wynagrodzić co tracisz dla mnie.

Antonia. Ależ cóż znowu!... wszak dajesz mi swoje nazwisko.

Henryk (żartobliwie). Czyż ono warte 500 fst. dochodu?...

Antonia. Ach! Henryku!

Henryk. Nie gniewaj się, mój aniele: dozwól spełnić co mi serce nakazuje... Wrócę za chwilę.

Antonia. Czy idąc do notaryusza nie będziesz czasem przechodził koło teatru?

Henryk. I owszem.

Antonia. Wszak znasz starą Michałową?

Henryk. Nie... Cóż to za jedna?

Antonia. To owa kwiaciarka co zawsze siada z bukiecikami w bramie teatru.

Henryk. A wiem!... Czegoż żądasz?

Antonia. Kiedy miałam debiutować w Drury-Lane, i drżąca i pomieszana wchodziłam do bramy teatru, biedna kwiaciarka spojrzała na mnie ze współczuciem i rzekła podając mi śliczny bukiecik z róż i fijołków: „Weź ten bukiecik, panienko, przyniesie ci szczęście". Zawahałam się, tak szczupłe miałam wtedy fundusze i już chciałam odmówić, gdy staruszka uśmiechnęła się dobrotliwie mówiąc: „Przyjmij go ode mnie, śliczna panienko, zapłacisz mi w dzień twego ślubu". Proszę cię więc, drogi mój Henryku, wybierz u niej jak najpiękniejszy bukiet z róż białych i fijołków i daj jej za niego te cztery gwinee. (Zbliża się do biurka i wyjmuje pieniądze).

Henryk. Pozwól abym ja wynagrodził tę co ci tak dobrą zrobiła przepowiednię.

Antonia. Kiedy chcesz koniecznie dodaj jej drugie cztery gwineje.

Henryk. Zgoda; do widzenia, droga moja...

Antonia. Do widzenia, mój jedyny!... a wracaj spiesznie... Oby już jak najprędzej minęło te kilka godzin, po upływie których będziemy złączeni na wieki. (żegnają się, Antonia odprowadza go do drzwi).

SCENA PIĄTA.

Antonia (sama).

Antonia (słucha oddalających się kroków Henryka, po chwili). Jestże na świecie inne równie wzniosłe, równie kochające serce!... (przykłada rękę do serca i do czoła) Jakże przyśpieszonem tentnem bije mi serce... zawrót ogarnia głowę.. Ach! jak to dobrze żem pierścień wrzuciła w Tamizę!... (chwila zadumy, wchodzi Anna).

(d. c. n.)

Zaćmienie słońca.

O jakże wiele zaćmień na świecie,
Któż ich rodzaje zrachuje,
Bywa na słońcu jak o tem wiecie,
Lecz się i w duszy znajduje.

Kiedy po chwili szczęścia błogiego,
Nastąpić ma rozłączenie,
Serce nie może znieść bólu tego:
I to jest także zaćmienie.

Gdy obojętność drogiej istoty,
Przytłumi serca płomienie,
Napełni duszę bólem zgryzoty,
I to jest także zaćmienie!

Jeżeli zazdrość w sercu panuje,
Rzucając wszędzie swe cienie,
A człowiek nie wie co myśli, czuje,
I to jest także zaćmienie!

Gdy po rozkoszy słodkiej przeszłości,
Nastąpić ma przebudzenie,
A z niem gorycze rzeczywistości,
O to jest także zaćmienie.

I zawsze, wszędzie, na każdym kroku,
Człowiek znajduje cierpienie,
I mówi czysto ze łzami w oku:
Że życie ludzkie, zaćmienie.

Lecz przyjdzie chwila kiedyś, w przyszłości,
Gdy człek wydawszy ostatnie tchnienie,
Zobaczy słońce sprawiedliwości:
Wtedy się skończy życia zaćmienie.

Emilia.

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg).

Podejrzenie i spisek.

Nazajutrz obudziła się raniej jak zwykle pani podkanclerzyna, nie mogła usnąć tak ją trapiło postępowanie męża na uczcie Zamojskiego. Przemyśliwała o sposobach jakiemi by się wyłamać z pod jego tyrańskiej, jak nazywała władzy, coraz to nowe plany przesuwały się po jej głowie, lecz tylko do tego przyszła przekonania, że trzeba pierwej stworzyć sobie odpowiednią siłę, aby módz pokonać takiego człowieka jakim był podkanclerzy. Do czasu więc ulegać postanowiła i ukrywać broń którą zwalczyć go zamierzała... Po chwili klasnęła w dłonie aby powstać z łoża. Weszła panna Hirszówna, ale lica miała tak zmienione, oczy tak od łez zaczerwienione, że podkanclerzyna postrzegłszy to zawołała:

— Co ci jest moja Hirszówno?

— Przyjdzie mi się pożegnać z panią, gdyż nikt nie jest pewnym czy tu do jutra zostanie tak sługi j. w. pani haniebnie wypędzają z dworu.

— Co to jest? kogo wypędzili? mów! nie rozumiem cię.

— Dzisiejszej nocy pan podkanclerzy zelżywszy Tyzenhauza, obsypawszy go grubiańskiemi słowy, kazał mu w nocy jeszcze dwór opuścić.

Podkanclerzyna nieubrana zerwała się z łoża i krzyknęła.

— On, śmiał sekretarza mego wypędzić, bez mego zezwolenia. To tyrania przechodząca wszelkie granice. Dalej i mnie grozić może niebezpieczeństwo, ja tych kajdan znosić dłużej nie będę, poczuje on moją rękę!

— Jaśnie wielmożna pani walczyć może z panem lecz cóż się z nami stanie? W ślad Tyzenhauza wszyscy po kolei wypędzeni będziemy.

— Gdzie jest teraz Tyzenhauz? zapytała podkanclerzyna.

— Dziś jeszcze jest w Warszawie, jutro wyjedzie szukać losu po świecie, nie mógł nawet pani pożegnać. Biedny chłopiec!

— Nie będzie biednym, przerwała podkanclerzyna, na przekór memu mężowi zajmie jeszcze świetniejsze miejsce.

Usiadła przy stoliku, pomyślała chwilkę i napisała list który wręczając Hirszównie rzekła:

— Wynajdź Tyzenhauza, oddaj mu ten list, niech zaraz uda się na zamek i to pismo odda królowi.

Gdy odeszła Hirszówna, pani podkanclerzyna znów usiadła przy stole i długo pisała, lica jej pałały, pióro ślizgające się szybko i wzrok rozogniony, świadczyły o żywości uczuć które na papier wylewała. Zapisawszy całe cztery stronnice włożyła list w dużą kopertę i taki na niej umieściła adres. „Jaśnie wielmożnemu Służce podskarbiemu w. księstwa Litewskiego, wielce miłościwemu panu i bratu." Pogrążyła się w głębokie dumanie, różne myśli snuły się po głowie, oczy pałały oburzeniem, ale widać że rozwaga gniew przytłumiła, gdyż powstała i rzekła do siebie:

— O! to okropne! ale jeszcze muszę być uległą, obojętnie przyjmować będę obelgi jakie mi wyrządza, stłumię ten pożar gniewu który serce mi pali... ale niedługo wybuchnie wulkan i wrzącą lawą go zaleje, a wówczas zobaczymy przy kim będzie zwycięztwo! Spiesznie się ubrała. rozkazała podać kawę i prosić męża do siebie.

Po chwili nadszedł Radziejowski, pocałował żonę w czoło i rzekł:

— Moja Anno, może mnie wyłajesz za mój postępek, ale wczoraj wychodząc od ciebie znalazłem pode drzwiami młodego Tyzenhauza, który podsłuchiwał naszą rozmowę. To szpiegostwo w mojem własnym domu nie mogło ujść bezkarnie, musiałem wypędzić tego młokosa.

— Szkoda żeś mnie o tem nie uprzedził, samamby go oddaliła, lecz to się stało, rzeczy dokonane uważam zawsze za dobre.

— Ja ci moja Anno przedstawię kogo innego na sekretarza.

— Sekretów nie mam więc nie potrzebuje, sekretarza, a miejską korespondencyą sama mogę załatwiać, im mniej dworzan tem lepiej.

— Jesteś rozsądną kobietą moja Anno. Czyś dobrze się bawiła na wczorajszej uczcie? zapytał Radziejowski, żałowałem że nagła niedyspozycya moja zmusiła nas do zbyt prędkiego powrotu.

— Czy widziałeś kiedy panie mężu aby piękna kobieta źle się bawiła na uczcie, gdy od króla do

pachołka każdy hołd oddawał jej piękności? Wy zbieracie laury na polu bitwy a my w salonie.

— Ale te hołdy moja Anno mogą wzniecić w kobiecem sercu uczucia, które nie zawsze bywają chwalebne.

Patrzył w oczy żony śledząc czy te słowa nie wywołają jakiego pomieszania, ale pani Radziejowska nie spuszczając wzroku odrzekła z uśmiechem:

— Mężczyzni nigdy nie zdołają pojąć kobiety, sądzą o nich podług swych własnych usposobień, a tak są zarozumiali, że im się wydaje, iż każde rzucone przez nich gładkie i słodkie słówko, leci nam prosto do serca i zapala jakieś gwałtowne uczucia, gdy na prawdę te wszystkie komplementa ledwo do uszu nam dolatują, a tak dobrze znamy na pamięć wszystkie wasze miłośne frazesa, iż żadnego wrażenia na nas nie czynią. Wprawdzie jak mówicie, macie więcej nauki i rozsądku, my jednak bawimy się wami jak dziećmi nieraz i litujemy się nad wami, gdy miłość własna tak was zaślepia, iż zdaje się wam że zwycięztwo powinno być zawsze po waszej stronie.

Radziejowski słysząc zimno wypowiedziane te słowa, nie widząc żadnego pomieszania w twarzy żony, zawahał się w podejrzeniach, jednak chcąc badanie dalej posunąć i chcąc wypróbować czy się nie zdradzi w swych uczuciach, mówił dalej:

— Zapewne że ludzie wszyscy do siebie podobni i prawią kobietom jednostajne słowa, mogą więc do nich nawyknąć jak do powszedniego chleba jednak gdyby król hołdował jakiej piękności, gdyby przed nią odkrył swe uczucia, czyż jest kobieta któraby się oparła tej pokusie?

I znowu wzrok wytężył na żonę, nietylko patrzył w oczy, ale usiłował dostrzedz drgnięcie jakiego muszkułu, śledził czy jakiś zmarszczek nie prześliźnie się po wypogodzonem czole, czy rumieniec nie wystąpi na lica. Ale podkanclerzyna z równie spokojną twarzą odpowiedziała:

— Dla was król jest potęgą, a dla nas tylko człowiekiem, w naszym sercu nie ma hierarchii społecznej. Dla was słowo króla jest niecofnionym wyrokiem, my zaś słowom mężczyzn rzadko wierzymy, a królewskim nigdy. Król więc ma mniej warunków do podbicia serc naszych.

Radziejowski się zdumiał odpowiedzią żony z taką prawdą i szczerością wypowiedzianej, nie wiedział sam komu ma wierzyć, czy jej wyznaniu, czy słowom podkomorzego i własnym oczom. Co bądź, zachwiany został w swem podejrzeniu ochłonął z pierwszego wrażenia i musiał czasowi zostawić odkrycie tej tajemnicy. Rozmowa przeszła na przedmiot mniej drażliwy. Podkanclerzy był zachwycony dowcipnemi i trafnemi spostrzeżeniami żony, i przy jej wdziękach zapomniał o gniewie, podejrzeniach i zazdrości. Gdy ją na pożegnanie ucałował, podkanclerzyna rzekła:

— Dziś odebrałam list od podskarbiego Litewskiego, mego brata, obiecuje że na jakiś czas przyjedzie do nas, spodziewam się że swego domu mu nie odmówisz i gościnnie przyjąć go zechcesz.

— Moja Anno, gość w dom, Bóg w dom, dość mi że jest twoim bratem, to dostateczne abym go serdecznie uściskał i starał się aby mu wygodnie i przyjemnie było w naszym domu.

Po czułem pożegnaniu, rozeszli się zgodni na pozór małżonkowie.

— Teraz mogę wysłać list do mego brata, rzekła sama do siebie podkanclerzyna. Opisałam mu nasze domowe stosunki, plan mój wskazałam, i liczę że nasze połączone siły, przy protekcyi króla, nietylko zwalczą podkanclerzego, lecz go tak zgniotą, iż nigdy nie powstanie. Zawierzył moim słowom, podejrzenia potrafiłam usunąć. O! jakże on jest ślepy! jak nie umie widzieć co w mem sercu się dzieje!

Pan podskarbi Służka miał lat około czterdziestu; silny, barczysty, obdarzony był lwią odwagą, lecz i lisia natura w nim się przebijała, gdzie nie mógł przeskoczyć tam podleźć potrafił. Mieszkając wśród litewskich borów, więcej z niedźwiedziami jak z ludźmi przestawał: jedni i drudzy go się obawiali, wszelako dwór jego był pełen szlachty, w czasie polowania po kilkuset się zbierało, bili niedźwiedzie, łosie i dziki, jedli dużo, pili jeszcze więcej; i każdemu na dworze podkomorzego czas mile przechodził. Kto był myśliwym, ten mógł być pewnym jego protekcyi, klientela więc była liczna, posłuszna i na sejmikach wojewodzkich stanowiła siłę która krzykiem i szablą popierała każdy wniosek pana podskarbiego. Z panami bardzo mało przestawał, bo żadnej wyższości nie znosił, a o żadnem ustępstwie czy grzeczności nie miał wyobrażenia, z tąd z niejednym się zadarł, niejednemu ostro przymówił, panowie go unikali, a on ze wzgardą nazywał ich „żółtobrzuchami.“ Gdy wydarzyła się jakabądź sposobność upokorzenia którego z nich, tam Służka z pewnością stawał na czele, i różnemi burdami dokuczał przeciwnikowi i nazywał to „polowaniem na magnatów.“ Nie cierpiąc panów, z drobną szlachtą przestawał, prawił o złotej wolności, a miał usposobienia despotyczne. Procesować się lubił i miał spraw bez liku, a gdy dekretu nie mógł prędko uzyskać, to zajazdem na swojem musiał postawić. Od dworu i stolicy trzymał się z daleka, uniżał się tylko przed królem gdy pragnął jakie starostwo uzyskać. Do spraw politycznych nie mieszał się wcale, bo sam panował u siebie, i więcej go obchodziły sprawy dóbr własnych niżeli krajowe. Takim był brat podkanclerzyny, na którego współdziałanie całą pokładała nadzieję zwycięztwa swego nad mężem.

Nad wieczorem dopiero wróciła Hirszówna i zaraz się udała do komnaty pani Radziejowskiej.

— Czegoś tak długo bawiła moja panno Marto?

— Spełniłam zlecenie j. w. pani, oddałam jej pismo Tyzenhauzowi, lecz chcąc przynieść pewną wiadomość o skutku listu do króla, zatrzymałam się i czekałam jego powrotu. Jakież było jego zadziwienie, jakąż radością i wdzięcznością dla pani uderzyło jego serce, gdy król odezwał się do niego po przeczytaniu listu:

— Od dnia dzisiejszego jesteś waćpan moim dworzaninem. Nic nie mogę odmówić pani podkanclerzynie, później zajmiesz godniejsze stanowisko, gdy zdolności, o których mi pisze podkanclerzyna, obrócisz na nasz i kraju pożytek.

Wzruszony temi łaskawemi słowy młodzieniec, prosił o łaskę ucałowania królewskiej ręki. Król mu ją podał i rzekł:

— Szczerych i wiernych sług potrzebuję, osoby zacne ręczą mi za waćpana, jedynie więc od ciebie zależy dowieść czynem, że zasługujesz na tak zaszczytną protekcyą.

— Życie moje i krew będą zawsze na usługi waszej królewskiej mości! odrzekł Tyzenhauz.

Opowiadając mi to widzenie się z królem był w takiem uniesieniu szczęścia i radości, iż słowa mieszał ze łzami i kazał mi powiedzieć, iż przyjmując miejsce u dworu, zawsze się uważa za najwierniejszego sługę pani.

— Wszelako więc stało się dobrze, mówiła uradowana Radziejowska. Mąż mój, który chciał go zdeptać, był przyczyną jego wyniesienia i przy królu jednego więcej wroga mieć będzie. Gdy zobaczysz Tyzenhauza powiedz mu, że wkrótce będę potrzebować dowodów jego wdzięczności.

I dobywszy opieczętowany list do brata, kazała Hirszówne aby sama i tajemnie przez umyślnego posłańca go wyprawiła.

Dnie upływały dosyć spokojnie w pałacu Radziejowskich, zazdrość w mężu choć niezgasła ale drzemała uśpiona, podejrzenia aczkolwiek nękały jego serce, jednak dowodów nie było żadnych. Radziejowski zajęty sprawami publicznemi mało miał czasu do przesiadywania w domu, te wszystkie więc przyczyny wpływały na dość znośne pożycie.

Pani podkanclerzyna usunęła się trochę od świata; zajęta własnym interesem, usilnie szukała sprzymierzeńców przeciw mężowi; miała już Tyzenhauza i Służkę, ale czuła że siły te nie były jeszcze dostateczne. Zawiązała więc ściślejszą znajomość z instygatorem koronnym, Danielem Żytkiewiczem, który miał wpływ na króla, jego rad nieraz słuchającego. Był to człowiek przewrotny, intrygant a prawnik z powołania; dawniej zwykły prokurator sądowy, dziś dosięgnął wysokiego urzędu, który zawsze był piastowany przez ludzi zacnych i uczciwych. Był synem wieśniaka z majętności wojewody Krakowskiego. Pamiętając na swe pochodzenie nienawidził panów którym zazdrościł, gdzie mógł im szkodził i nieraz przeciw nim jątrzył umysł królewski, zjednanie zatem takiego stronnika, było rzeczą wielkiej wagi dla pani podkanclerzyny. Pięknością uwikłać go w swe sidła nie mogła, gdyż kobiety żadnego na nim wpływu nie miały. Protekcya jej u króla na nic by mu się nieprzydała, gdyż czuł że mocno stoi na stanowisku swojem i król żadnych łask mu nie odmówi na własną jego prośbę. Podejść go udaną grzecznością nie było też łatwo, gdyż znał się doskonale na obłudnych słowach. Wszystkich oszukując sam nie mógł być oszukany, wiedziała o tem wszystkiem podkanclerzyna i prędko pojęła że do takich ludzi nie można inaczej trafić jak tylko pieniędzmi. Zaprosiła go więc do siebie pod jakiemciś pozorami; narady trwały długo, widać że z obu stron warunki musiały być wielkiej wagi, obie strony starały się coś utargować, lecz w końcu ugoda stanęła, targ na zgubę podkanclerzego był skończony, obmyślony i przyjęty. W dalszym ciągu powieści dowiemy się jakie były skutki intrygi, której główne zarysy po długim namyśle osnuła, podkanclerzyna.

Tymczasem lewe skrzydło pałacu, wykończone przeznaczone dla podskarbiego Litewskiego, na gwałt odświeżano i odnawiano, a dla dworzan i służby oporządzono kilka izb przy bramie, gdyż podskarbi zwykle dwornо zajeżdżał; strzelcy i psiarnia w każdej podróży mu towarzyszyli. Pani podkanclerzyna z wielkim upragnieniem oczekiwała brata, wreszcie nadbiegł goniec z doniesieniem że jutro podskarbi przybędzie.

Niepokój w domu i zerwanie z dworem.

Od przybycia podskarbiego zaludnił się pałac Radziejowskich, gdyż oprócz sług, dworzan zwyczajnych, strzelców i psów, towarzyszyło mu kilkunastu szlachty; przyjaciół niby i rezydentow. Ci mieszkańcy, sosnowych borów litewskich zupełnie się różnili od Warszawian. Skoro świt już byli na nogach i wszystkich budzili aby przygotowywano im śniadanie, wszystkie swe domagania popierali groźbą, a nieraz nawet i pięścią. rządzili się jak szare gęsi wtrącając się do wszystkiego co miejscowa służba czyniła, ztąd powstawały wrzawy i kłótnie które nieraz do komnat pałacowych dochodziły. Pobyt ich wyglądał więcej na zajazd niż na gościnę, sam podskarbi równie nie był oględny w swem postępowaniu, rozporządzał się jakby we własnym

domu, wyśmiewał dworskie zwyczaje, drwił z dygnitarzy, prawił tylko o polowaniach ubarwiając swe opowiadania wcale nie dowcipnemi kłamstwami.

Taki gość nie mógł być przyjemnym podkanclerzemu, jednak tłumił w sobie wszelkie oznaki nieukontentowania, aby w niczem nie ubliżyć tradycyjnej gościnności. Zrana przychodził podskarbi codziennie do komnaty siostry, tam długie wiedli z sobą rozmowy, a nieraz do tych schadzek przywoływany bywał i pan instygator Żytkiewicz; jego bytność wytłómaczono podkanclerzemu w ten sposób, iż potrzebny jest do narady co do licznych procesów jakie pan podskarbi ma na Litwie. Trudno było się dowiedzieć o treści tych obrad, tak ich tajemnica ściśle zachowaną była a podskarbi dla większej pewności zawsze u drzwi zostawiał dwóch dworzan swoich.

Przy obiedzie tylko widywał się z Radziejowskim, jeden drugiego unikał, ale i te krótkie chwile nie obchodziły się bez zobopólnych przymówek. Te uciążliwe odwiedziny przeciągnęły się już przeszło trzy tygodnie. Pewnego dnia gdy usiedli do stołu, który się zwiększył o kilkanaście osób, gdyż podskarbi wymagał aby przybyła z nim szlachta naró-wni z nim była traktowaną, wszczęła się następująca rozmowa.

— Mości podkanclerzy, zawołał pan Służka, czegoś tak kwaśny jakbyś cytrynę połknął, a minę masz jakby cię brzuch zabolał. Przy obiedzie trzeba być wesołym, gdyż smutek strawności przeszkadza.

Na ten koncept podskarbiego, szlachta siedząca przy końcu stołu głośno śmiać się zaczęła.

— Zdaje mi się że panowie bracia śmiać się przestaną, odpowiedział podkanclerzy, gdy im oznajmię że straciliśmy najużyteczniejszego męża w kraju, wielkiego hetmana Mikołaja Potockiego, w czasach gdy tak potrzebny był dla Polski, gdyż przed zgonem, po wielu trudach zawarł nareszcie umowę z Chmielnickim, korzystną dla stron obu. Przy pomocy wojewody Kisiela te układy przyszły do końca, ale śmierć hetmana może zachwiać to co jest jedynym ratunkiem dla Polski i szlachetnem zakończeniem wojny domowej, Smucę się więc nad zgonem tego męża, który pod Karolem Chodkiewiczem był chlubą wyprawy Chocimskiej, który służył wiernie trzem królom i ojczyźnie.

Pan podskarbi powstał, przeżegnał się i rzekł do szlachty:

— Na kolana panowie! odmówcie Anioł Pański za spokój duszy wielkiego hetmana.

Szlachta z miejsca powstała i klęcząc półgłosem odmówiła nakazaną modlitwę.

Poczem Służka rzekł siadając:

— A teraz gdyśmy dopełnili powinności chrześciańskiej, precz z wszelkiemi smutkami!

— Po hetmanie będzie drugi, po nim trzeci, czwarty, i tak do skończenia świata; cieszmy się że jesteśmy przy życiu i starajmy się aby to życie przeszło nam wesoło. Wiesz co panie podkanclerzy, dobrze mi jest u was, miałem zamiar zabawić tylko miesiąc, a kto wie, może i drugi zabawię.

— Cieszy mnie odrzekł podkanclerzy, że się u mnie nie nudzisz, zwłaszcza iż zwykle Litwini bawiąc u nas tęsknią za swojemi borami pełnemi niedźwiedzi, za barciami na sosnach, a nawet źle im bez boćwiny i kołdunów których u nas robić nie umieją.

— Zapewne, rzekł podskarbi, że za temi przysmakami zatęsknić można, nieprawdaż panowie szlachta i bracia?

— Święta prawda! wykrzyknęło kilka głosów.

— Choć tęskno, dalej mówił podskarbi, ale człek o tem zapomina patrząc na tutejsze dziwy, panowie nadęci jak nasze leśne purchawki panie jak kukły w naszych jasełkach; dwór jak nasza karczma w której szynkuje się nie wódką ale starostwami. Ludność lata po ulicach, jak gdyby kto im żaru w buty ponasypywał, wszystko tu inaczej jak u nas. Prawda panowie?

— Prawda panie podskarbi! wszyscy odezwali się chórem zgodnym, a jeden z nich dodał:

— Różnica ztąd pochodzi, że jak mówią, mazury ślepo się rodzą jak psiaki.

Pan podskarbi pękał od śmiechu, a szlachta hałaśliwie mu wtórowała.

Radziejowski się nie śmiał, nasępił czoło i rozgniewany zawołał:

— Kiedy u nas wszystko tak śmiesznem i głupiem wam się wydaje, po cóż z temi jak mówicie psiakami macie dłużej przebywać?

— Nasza siostra jest między wami, odrzekł podskarbi, do niej więc przyjechałem, nie do was, jeśli ona nas wypędzi, to my i pójdziem do naszej kochanej Litwy.

— Ależ i mój mąż rad wam jest bardzo, przerwała kanclerzyna.

— Nikt was nie wypędza, dodał Radziejowski.

— A więc jeszcze miesiąc posiedzę u was, przerwał podskarbi i zwracając się do szlachty zapytał:

— Panowie towarzysze podróży, czy zgadzacie się na tę prolongatę?

— Zgadzamy się! zgadzamy! wrzasnęła szlachta, a jeden głos krzyknął: veto!

— Cóż to? sejm zerwany! zawołał podskarbi, z jakiejże racyi?

Opasły szlachcic powstał i rzekł:

— Pan podkanclerzy uchybił Litwie, mówił że my mamy kołtuny.

— Niech przeprosi! krzyczała szlachta, szlachtę obrażać nie można!

— Ależ panowie, wam się przesłyszało, odrzekł Radziejowski, nie mówiłem kołtuny, ale kołduny, wreszcie kołtun nikogo nie hańbi, grubiaństwem jest chyba ludzi nazywać psiakami.

— A więc piękne za nadobne, przerwał podskarbi, i zgoda! Wypijmy za pomyślność naszą wspólną.

Wszyscy powstawszy wychylili toast, zaproponowano drugi, trzeci i czwarty; aż dobrze podchmieleni wstali od stołu.

Te nieprzyjemne żarty i sprzeczki codziennie się powtarzały. Pan podskarbi codzienną zaprowadzał pijatykę, wszystko to jątrzyło Radziejowskiego, często uciekał z pałacu w którym nie miał spokoju; podskarbi wszystkiem rządził i gospodarował jak we własnym domu, władza wymykała się powoli z rąk podkanclerzego, goście zajęli jego miejsce. Była to część planu obmyślanego przez podkanclerzynę i która się powiodła doskonale.

Pan Służka dobrze podchmielony wracał do swej komnaty, gdy po drodze spotkał pannę Martę Hirszównę, uderzyła go jej kibić wysmukła i niezwykła piękność, tak że zatrzymawszy odezwał się do niej:

— Kilka razy spotkałem już asannę i coraz mi piękniejszą się wydajesz, powiedz mi czy ci tu dobrze, czy niechciałabyś aby ci było daleko lepiej?

— Zadowolona jestem z mego położenia, a co będzie w przyszłości, czy lepiej czy gorzej, to już w ręku Boga.

— Ja chcę mościa panno aby było ci lepiej, posłuchaj tylko mej rady; porzuć tych głupich Mazurów, tę nieznośną Warszawę, a jedź ze mną na Litwę, dam ci co zechcesz, złota i brylantów, niczego ci nie zabraknie.

— Ja panie podskarbi, niezapracowanych bogactw lękam się a wcale nie mam chęci opuszczać pani podkanclerzyny.

— To romanse mościa panno! od przybytku nigdy głowa nie boli, los ci się wydarza, głupstwem byłoby nie posłuchać mej rady.

— Właśnie w tym razie panie podskarbi, wolę być głupią jak nikczemną.

— Tra-ra-ra, mościapanno, co w tem nikczemnego, być panią całą gębą!

I wziąwszy ją za rękę, mówił dalej:

— Moja panno Marto, oddawna cię śledzę, gdy stroisz moją siostrę, oczów od ciebie oderwać nie mogę, podobałaś mi się niezmiernie, chcę cię uszczęśliwić, a ty ofiary moje odrzucasz.

— Pan podskarbi nie ma dla mnie żadnych obowiązków.

— Ale te obowiązki chcę mieć mościa panno; gdybym na Litwie powiedział jakiej dziewczynie to co tobie mówię, już od dawna rzuciłaby mi się na szyję.

— Niech więc pan podskarbi szuka zwycięztwa tam gdzie ono jest tak łatwe, u nas nie kupują się serca i szczęścia niezakładają w dostatkach.

— Masz przewróconą głowę moja panno, a gdybym powiedział że cię kocham?

— Tobym się rozśmiała i unikała pana, abyś mi drugi raz słowa tego nie powtórzył.

To powiedziawszy spiesznie odbiegła od podskarbiego.

Pan Służka stał przez chwilę zachmurzony i gniewny, nieprzywykł aby go tak lekko odprawiano; mruczał więc pod nosem:

— Poczekaj ty dzierlatko! ja cię ułowię! darmo będziesz się trzepotać, jestem ptasznik doświadczony.

Młody Tyzenhauz zostawał tedy na dworze królewskim. Pięknej powierzchowności, układny, gotów zawsze usłużyć każdemu, wszystkim się spodobał. Król się do niego przywiązał, tak iż nieraz poufne rozmowy z nim prowadził. Wypytywał go o dworze Radziejowskich, o ich pożyciu. Tyzenhauz żywiąc w swem sercu zemstę dla podkanclerzego za doznaną obelgę, nieoszczędzał słów aby przed królem wystawić go jako okrutnego despotę, człowieka niezmiernie popędliwego, tyrana dla dworzan i żony, król parę razy się odezwał kończąc podobną rozmowę z Tyzenhauzem.

— Czemu pani podkanclerzyna się nie rozwiedzie z mężem? Jabym dopomógł do uzyskania rozwodu.

Te słowa Tyzenhauz za pośrednictwem panny Marty przesłał Radziejowskiej. Myśl tę z radością pochwyciła podkanclerzyna, gdyż dowodziła interesowania się króla jej losem, a rozwód był jej najulubieńszem marzeniem, dopełniał jej zamiarów, wprzódy jednak chciała upokorzyć męża, zdeptać go i zgubić w opinii publicznej, wystawiając jako człowieka niebezpiecznego nawet dla kraju. Spiskowi którzy dążyli do celów pani podkanclerzyny byli: jej brat Służka, młody Tyzenhauz i Żytkiewicz instygator koronny. Rola podskarbiego polegała na tem aby drażnić Radziejowskiego, wywołać otwartą kłótnię, osłabić jego władze we własnym domu, stawać zawsze w obronie siostry i używać wszelkich środków, aby gdy niestanie mu cierpliwości wybuchnął jakim skandalem. Tyzenhauz wkręciwszy się do łaski króla pozyskawszy jego zaufanie, miał podkopywać wziętość pookanclerzego u dworu i z każdej okoliczności korzystać aby go oczernić w oczach króla. Podjął się z radością tej roboty pałając nienawiścią i zemstą względem podkanclerzego. Pan instygator Żytkiewicz pracował skrycie, szpiegował każdy krok Radziejowskiego, umiejętnie rozstawiał

sieci, w które raz wplątany podkanclerzy miał zginąć, bez ratunku. Znał oddoskonale charakter jego, wiedział jakie skutki wywrze każde słowo, przewidywał wypadki i cicho, skrycie, dążył do celu W tej to myśli pan instygator po długiem dumaniu napisał list bezimienny do Radziejowskiego i kazał jednemu ze swych zaufanych wręczyć go i zręcznie się wymknąć. aby nie mógł być o nic zapytywany.

List który Radziejowski otrzymał brzmiał jak następuje:

„Król nalega na żonę pańską, aby się podała do rozwodu: w jakim celu to czyni łatwo się domyśléć, a rzecz pewna, że j. w. pan im zawadzasz.

Szczery przyjaciel.“

Przeczytawszy to pismo Radziejowski porwał się jak lew raniony. Gdyby żona była przed nim, zabił by ją niechybnie, gdyby król, to słowem odważyłby się go zelżyć. Kręcił się po komnacie jak w klatce pantera, odzienie szarpał na sobie. Po kilku chwilach ochłonął jednak pomyślał bowiem że to wszystko kłamstwem być może i oszczerstwem; pod bezimiennem pismem zawsze podły człowiek się ukrywa. Chcąc wszakże wątpliwość tę rozjaśnić, postanowił udać się niezwłocznie do króla.

Piewszą osobą którą spotkał Radziejowski na pokojach królewskich był instygator Żytkiewicz. Pan podkanclerzy mniemając iż coś się dowie od niego zawiązał z nim rozmowę i rzekł:

— Przybywam aby widzieć się z królem.

— Król zajęty, wątpię czy pan podkanclerzy będzie mógł dostąpić do niego w tej chwili.

— Muszę się widzieć i na osobności pomówić stanowczo, rzekł Radziejowski.

— To pewno tajemnica stanu? zapytał Żytkiewicz.

— Nie, przerwał Radziejowski, tajemnica domowa, która mnie tylko i króla obchodzi. Pan instygator który jest w tajemniczony w sekreta dworu, może będzie mógł mi objaśnić, czy to jest prawdą że król namawia moją żonę, aby się podała do rozwodu.

— Nic nie wiem panie podkanclerzy. Gdyby jednak tak było, będąc na waszem miejscu, wymówiłbym to śmiało królowi, przecież żona do pana nie do króla należy. Władza jego tak daleko się nie rozciąga. Przestrzedz go możecie śmiało, aby się nie mieszał do sprawy która do niego nienależy, tylko wam pewno zabraknie odwagi.

— Nie zachęcać mnie trzeba do odwagi, odrzekł Radziejowski, raczej należy wstrzymać od gniewu i oburzenia, któremi mam przepełnione serce.

— A więc idź do króla, rzekł Żytkiewicz, wynurzyć co czujesz wszak to ulgę przynosi.

Rozstali się z sobą, Radziejowski z podsyconym gniewem, a Żytkiewicz z szyderskim uśmiechem.

Idąc do króla spotkał Tyzenhauza, odwrócił się od niego, ale to spotkanie jeszcze bardziej rozjątrzyło mu serce.

Zapytawszy o pozwolenie służbowego dworzanina, Radziejowski poszedł do króla; zastał go samego czytającego jakiś papier.

Król spojrzał i niezadowolniony z tych odwiedzin. zapytał?

— Z czem przychodzisz panie podkanclerzy?

— Nie przychodzę z mego urzędu miłościwy panie, prywatna sprawa czasami jest tak ważną jak i publiczna. Mam urazę do was miłościwy panie, nie jako do króla ale jako do prywatnego człowieka. Dochodzą mnie wieści iż wasza miłość namawia moją żonę do rozwodu ze mną, chciałem się z ust waszej królewskiej mości dowiedzieć, czy to jest prawdą?

Król trochę się zmieszał i rzekł po chwili:

— Mówiono mi że pożycie wasze jest nieznośne, że wspólnie wichrzycie spokój domowy, przywidując że ztąd wyniknąć mogą zgorszenia, że takie pożycie może przywieść do występku, który splami którykolwiek z dostojnych waszych rodów, mówiłem że lepiejby było wam się rozejść.

— Najprzód kłamliwie waszej królewskiej mości przedstawiono stosunki nasze, powtóre obce rady nie łagodzą, ale wichrzą tylko małżeńskie zajścia, król panuje na tronie, a mąż we własnym domu.

— Tak, mości podkanclerzy. Ale król będąc po mazańcem Bożym, wszędzie gdzie widzi zło lub zgorszenie, czy to w życiu publicznem, czyli też prywatnem, ma prawo głos swój podnieść.

— Władza królewska, rzekł nie mogąc się powstrzymać Radziejowski, wiem że sięga daleko, nie ma wszakże prawa do cudzej żony.

— Zapominasz się mości podkanclerzy, przerwał król.

— Nie zapominam się miłościwy panie, mówię tylko jako do człowieka który potrójną przybrał cechę: Królewską dla narodu, opiekuńczą dla mej żony, a miłośną dla byłej pani Kazanowskiej; postępowanie zaś królewskie daje mi prawo sądzić że ta ostatnia trwa do dziś dnia jeszcze.

— Mości podkanclerzy! zabraniam ci mówić takie rzeczy! Sumienie mam czyste, a miotać nań kałem który mógł się tylko wylęgnąć w twej brudnej duszy, nie pozwolę!

— A więc wychodzę! gniewnie zawołał Radziejowski, z powinną czeącią dla króla, lecz z zatraconym szacunkiem dla człowieka!

— Wyjdź! krzyknął król, bo dłużej nie ścierpię tej zniewagi!

Gdy podkanclerzy wyszedł z królewskiej komnaty cały trzęsący się ze złości, z daleka w kącie stał instygator Żołtkiewicz i zacierając ręce rzekł do siebie z uśmiechem zadowolnienia:

— Wszystko się stało jak przewidziałem, na wieki poróżniłem ich z sobą, reszta łatwiej mi już pójdzie.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Dzieje Starożytne w opowiadaniach, dla młodzieży przez *Ludomira Szczerbowicza-Wieczora*. — Część II, *Grecya*. Warszawa 1880 r.

Z przyjemnością powitaliśmy w oddzielnej książce wydaną drugą część dziejów starożytnych opracowanych przez p. Szczerbowicza Wieczora. Część ta zawiera historyą Grecyi, przedstawioną w sposób popularny i zajmujący. Nie wypada nam jednak rozwodzić się nad zaletami książki z powodu, który łatwo odgadnąć, wiedząc o tem, że p. L. S W. zamieszcza również w niniejszem piśmie swoje artykuły krytyczne, poprzestajemy więc na czysto objektywnem streszczeniu książki, przez co użyteczność jej tem samem się uwydatni.

Najprzód zapoznaje autor swojego czytelnika, w jaki sposób ukształtowała się Europa, i jakie przechodziła koleje, w tym celu wylicza cztery epoki powszechnie przez uczonych przyjęte, to jest: kamienia ciosowego, kamienia szlifowanego, bronzu i żelaza. A wspomniawszy, zgodnie z podaniem biblijnem, o potopie, zajmuje się Aryjczykami, którzy zajęli Europę; dzieli ich na trzy plemiona: iberyjskie w Hiszpanii. Etruskie w Italii i fińskie, które usadowiły się we wschodniej Europie. Te ostatnie żyły pomieszane ze Słowianami, Litwinami i Niemcami; wiadomości te przecież strasznie są zagmatwane, starożytni pisarze tyle wymieniają tu nazwisk, iż trudno dojść które narody były fińskie, które litewskie, niemieckie, a mianowicie też, gdzie żyli nasi przodkowie Słowianie. Z plemion aryjskich pierwsze występują na scenę historyczną ludy greckie (w XII w. przed Chr.) i italskie (w VIII w. przed Chr.). Grekom więc pierwszeństwo się należy: ich dzieje p. L. S. W. opowiedział językiem poprawnym, a jednocześnie obrazowym, w jedenastu odstępach.

W pierwszym opisuje kraje i ludy, które zamieszkiwały na dzisiejszym półwyspie bałkańskim, oznacza dyalekty i właściwości języka greckiego, zwraca uwagę na gimnastykę i olimpijskie igrzyska objaśniając czytelnika o charakterze i obyczajach starożytnych Greków. Drugi, nadzwyczaj pouczający ustęp traktuje o mytologii i religii greckiej; z krótkiego, lecz systematycznego opisu, jasnego nabieramy pojęcia o bóstwach głównych i podrzędnych, jakim cześć oddawano w Grecyi. Wiadomość ztąd poczerpnięta dla niejednego z czytelników stać się może kluczem do zrozumienia poetów i artystów nietylko starożytnych, ale nowoczesnych nawet. Nazwy bóstw podaje autor w brzmieniu greckiem, chociaż i łacińskich nie pomija, jako dotąd zwykle w naszej literaturze używanych Trzeci rozdział jest dalszym ciągiem drugiego, gdyż zajmuje się kapłanami, świątyniami, wyroczniami i t. d. Znajdujemy tu wiadomość o tragedyi i komedyi, będących pewnego rodzaju uroczystościami religijnemi. Eschylos, Sofokles i Eurypides odznaczali się w pierwszej. Arystofanes w drugiej. W czwartym dziale spotykamy się z bohaterami, półbogami i innemi mytycznemi osobistościami przepełniającemi podania przedhistorycznych czasów, mianowicie też wyprawę Argonautów po złote runo. W piątym ustępie czytamy wybornie streszczoną Iliadę i Odyseę Homera. Szósty dział rozpoczyna pewniejsze dzieje Grecyi, zapoznając czytelnika z wędrówkami Doryjczyków, urządzeniami Sparty, prawami Drakona i Likurga, oraz z długo trwałemi wojnami z Messeną, gdzie naturalnie nie obeszło się bez wzmianki o dzielnym poecie Tyrteuszu. Siódmy ustęp poświęcony Atenom, przedstawiającym kontrast ze Spartą. O ile ostatnia była arystokratyczną o tyle pierwsza demokratyczną respubliką. Na rzeczy-pospolite greckie szczególnej zwraca się uwaga czytelnika z tego względu, iż one różnią się wielce od pojęcia, jakie przywiązujemy do tej formy rządu w czasach obecnych. My dziś nie pojmujemy rzeczy-pospolitej z ilotami i niewolnikami wszelkiego rodzaju. Dawna rzeczpospolita polska z pominięciem ludu, bez udziału tego, co później nazwano stanem średnim, była naśladowaniem republik greckich i rzymskiej. W dziale ósmym czytamy najpiękniejszą kartę w historyi greckiej, bo opis wojen Greków z Persami, gdzie miłość ojczyzny i niepodległość cudów dokonały. Maraton i Termopyle wieczną chwałą okrywają ich bohaterów. Najświetniejsza też była to epoka Grecyi w ogóle, a Aten w szczególe, na którą się składał znaczy poczet wielkich obywateli, wodzów, publicystów, filozofów i artystów, jak nas przekonywa o tem dział następny. Dział dziesiąty roozpoczyna dzieje upadku Grecyi, do którego wstępem były wojny poloponezkie. Dział wreszcie jedenasty obejmuje zaborcze podboje Aleksandra przezwanego wielkim, jego szalone wyprawy do Azyi i Afryki, i następstwa jakie wywołała jego śmierć przedwczesna. Ucisk najprzód Sparty a potem Macedończyków zgnębiły Greków na duchu. Związki Achejski i Etolski były ich ostatniemi wysileniami dla uwolnienia się od obcego jarzma. Jakoż uwolnili ich

od niego niesyci podbojów Rzymianie, lecz jedynie na to, aby zagarnąć pod swoje.

Oto kruciutka treść pracy p. S. W., o pożyteczności której, jako oryginalnej, jako opartej na gruncie naukowym i do tego swojskim, rozwodzić się byłoby rzeczą zbyteczną; jest ona popularyzacyą jednej z najpotrzebniejszych nauk, którą słusznie starożytni nazwali *magistra vitae*.

Kończąc nasze sprawozdanie o książeczce pana Szczerbowicza-Wieczora zrobimy uwagę, iż o ile jest ona pożyteczną, o tyle stałaby się jeszcze pożyteczniejszą, gdyby dołączono do niej choćby najskromniejszą mapkę, na którejby czytelnik znalazł wypisane, gdzie były Ateny, gdzie Sparta, Messena, Beocya, Tessalia, Tracya i t. d. Samo wskazanie że ten lub ów kraj leży na wschód lub zachód od drugiego nie jest dostateczne; nie można tu polegać na bujnej wyobraźni czytelnika, lecz należy mu uwydatnić położenie główniejszych miejscowości, zwłaszcza że nie każdy z nich ma pod ręką atlas starożytny.

J. Pracki.

Z kraju i z zagranicy.

Z dniem 1 października przybyły na wystawę do salonu sztuk pięknych Józefa Ungra przy ulicy Niecałej № 1 następujące dzieła sztuki: Bakałowicza: *W salonie*, Grottgera: *Ucieczka*, Franciszka Krudowskiego dwa obrazy: *Powrót z Golgoty* i *Stracona nadzieja*. Maszyńskiego: *Zima* i *Lato*.

O Szopenie ogłasza lipskie czasopismo „Signale für die musikalische Welt“ następujący nowy szczegół wzięty z rozprawy, jaką Legouvé pod tytułem: „Etudes et souvenirs de théâtre ogłosił w „Temps“. Czytamy tam: Pewnego wieczora przychodzi Berlioz do mnie i rzecze: „Chodź pan ze mną a zobaczysz coś, czegoś jeszcze nie widział, i poznasz kogoś, którego nigdy nie zapomnisz.“ Idziemy na 2 piętro małego hôtel garni i znajdujemy bladego, smutnego, eleganckiego, młodego człowieka z lekkim obcym akcentem, z brunatnemi, nadzwyczaj jasnemi i łagodnemi oczami, z kasztanowatemi na czoło zwieszającemi się włosami, prawie równie długiemi, jak je nosi Berlioz, „Mój kochany Szopenie, przedstawiam panu mego przyjaciela Legouve.“ Był to więc Szopen, przybyły przed kilku dniami do Paryża. Widok jego pierwszy wzruszył mnie, gra jego wprawiła w nieznane mi dotąd wzburzenie.

Nie mogę Szopena lepiej zdefiniować, jak nazywając go *czarującą trójcą*. Pomiędzy osobą jego, jego grą a kompozycyami była taka harmonia, że tak samo nie można ich było rozłączać jak rysów jednej i tej samej twarzy. Dziwne tony, jakie wydobywał z fortepianu podobne były do błyskawic, jakie promieniały z jego oczu; chorobliwa nieco delikatność jego postaci zgadzała się z poetyczną melancholią jego nocturnów, a wyszukana, staranna odzież kazała się domyślać światowej zapełnie elegancyi pewnych części jego kompozycyi; robił na mnie wrażenie naturalnego syna Webera z księżniczki, a to, com nazwał jego trzema *istotami*, tworzyło tylko jedną. Geniusz jego rzadko budził się przed 1 godziną po północy. Aż do czasu tego był tylko czarującym fortepianistą. Gdy noc nadchodziła, przyłączał się do tańca duchów nadpowietrznych, istot skrzydlatych, do wszystkiego, co w zmroku nocy letniej lata i błyszczy. Wtedy potrzebował bardzo ograniczonej i wybranej liczby słuchaczy. Każda najmniej mu wstrętna osoba pozbawiała go przytomności. Słyszę go jeszcze szepcącego do mnie pewnego dnia, gdy mi się gra jego zdawała być nieco wzburzoną: „To pióro owej damy, jeżeli pióro to nie będzie usunięte, nie będę mógł grać dalej!“ poczem wskazał oczyma na siedzącą naprzeciwko damę. Gdy siedział przy fortepianie, grał dopóki zupełnie nie osłabł. Ponieważ nieuleczona nagabywała go choroba, przeto były oczy jego czarnemi otoczone obrączkami, wzrok jego przybierał blask febryczny, usta stawały się purpurowemi jak krew, oddech stawał się krótkim; wśród nocy czuliśmy wraz z nim że razem z tonami uchodzi coś z jego życia, a jednak nie chciał przestać, a nie mieliśmy siły do powstrzymania go! Febra, która go trawiła, napadała nas wszystkich. A jednak istniał środek jeden, aby go odwieść od fortepianu: potrzeba było tylko prosić o marsz żałobny, który skomponował po smutnych wypadkach w Polsce. Nigdy nie wzdrygał się go zagrać, lecz zaledwo ostatni ton przebrzmiał, brał za kapelusz i odchodził. Utwór ten, który był niejako pieniem śmierci jego ojczyzny był dlań za bolesny; przegrawszy go, nie mógł wymówić ani słowa, bo wielki ten artysta był także wielkim patryotą, a pyszne tony, które w mazurkach jego brzmią jak głosy trąb, mówią wszystko, co za tą bladą twarzą gorzało heroicznego. Szopen umarł w wieku lat czterdziestu, będąc jeszcze młodzieńcem, bo twarz jego nigdy nie traciła wyrazu młodzieńczego. Istota jego miała wyraz lekko szyderczy, po którym poznać było można polskie jego pochodzenie. Nie zapomnę nigdy odpowiedzi po jednym publicznym koncercie, jaki dał kiedyś. Liszt chciał pisać o nim. Pośpieszyłem do Szopena, aby mu przynieść dobrą tę wiadomość, lecz rzekł łagodnie:

— Wolałbym, gdybyś pan to był zrobił.

— Ale co myślisz, kochany przyjacielu, artykuł Liszta to przecież szczęście dla publiczności i dla pana. Zaufaj pan jego podziwieniu dla pańskiego talentu. Zapewniam, że wysławiać cię będzie jako króla fortepianistów.

— Tak, odrzekł łagodnie, gdzie on sam będzie cesarzem!

Wielbiciele offenbachiady na scenie w czarnym pogrążeni smutku—z dnia 4 na 5 b. m. Jakób Offenbach przeniósł się do wieczności, w Paryżu.

Słynny maestro urodził się w Kolonii w 1819 czy 1822 roku nie był więc jeszcze w podeszłym wieku. Początek jego zawodu nie zdawał się zapowiadać przyszłej sławy i dostatków. W młodych latach przybył do Paryża, i został tam uczniem konserwatorium, a nie posiadając żadnych funduszów, walczył energicznie i wytrwale z przygniatającym go niedostatkiem. Po ukończeniu konserwatoryum (1834) długi czas był dyrektorem orkiestry w Teatrze Francuzkim. Początek swej popularności i rozgłosu, zawdzięcza lekkiej i wesołej muzyce jaką napisał do kilku bajek Lafontaine'a. W r. 1855 otrzymał pozwolenie na nowy teatr, który nazwał „Bouffes parisiennes“ jest to dziś jeden z najulubieńszych teatrów w Paryżu. Otwarty został 5 czerwca 1855 r. „buffoneryą muzykalną“ utworu Offenbacha, p. n. „Noc bezsenna“ po której nastąpił cały szereg operetek, po większej części jednoaktowych, zapewniających swemu twórcy coraz wiekszy rozgłos i powodzenie. Napisaniem „Wesela przy latarniach“ tego pięknego klejnociku muzykalnego, młody maestro zwrócił na siebie uwagę muzykalnego świata europejskiego, tworząc w niem niejako nowy rodzaj muzyki o rytmie lekkim i skocznym, o łatwej melodyi, drażniącej nerwy i zmysły. „Orfeusz w piekle“ nowy znów żywioł wprowadził na scenę — parodyą świata klasycznego. W następnych tego rodzaju utworach Offenbacha, brakuje już tej werwy, humoru muzycznego i tej świeżości jaka cechuje „Orfeusza w Piekle.“ Przedstawiona w teatrze „Variétes“ w r. 1864 „Piękna Helena“ szalone zyskała powodzenie. Do najbardziej znanych utworów Offenbacha, zaliczają się: „Sinobrody“ (1866) „Wielka księżna Gerolstein (1867) „Perikola“ (1868) „Rozbójnicy“ (1869) „Genowefa Brabancka“ (1868) „Księżna Trebizondy“ i w. i. Ostatniemi partyturami wesołego mistrza są: „Pani Favart“ i „Córka Tambour majora“. Niepodobna nie przyznać iż Offenbach niezmierny wywierał wpływ na społeczeństwo, nietylko pod względem artystycznym ale i pod względem moralnym; operetki jego już to rozkiełznane już to lekkomyślnie i pogardliwie niemal parodiujące zasady obyczajowe i rodzinne, musiało wsłuchujących się w nie z lubością, pozbawiać, lub co najmniej bardzo osłabiać ich siłę moralną i moc charakteru, uczynić zwolennikami doktryn materyalistycznych i rozkoszy zmysłowych, z zapoznaniem najświętszych zadań i obowiązków społecznych.

Offenbach nie zszedł do grobu bez pozostawienia naśladowców tąż samą kroczących drogą, a jeżli dotąd żaden może nie dorównał mu talentem, wielu jednak, a między nimi Lecocq, Heroé i Vasseur dziś już wielki zyskali rozgłos i świetną mają przed sobą przyszłość.—Opery i operetki Offenbacha, przyniosły mu po dwakroć-kilkadziesiąt tysięcy fr. rocznego dochodu.

Przed parą tygodniami odbył się w Gdańsku zjazd lekarzy i przyrodników niemieckich. Z ogólnych rozpraw najważniejszą była profesora Cohn'a, z Wrocławia, o piśmie, druku i wzrastającem krótkowidzeniu, opierająca się na wytrwałych długoletnich badaniach. Uczony profesor wykazał na mocy statystycznych spostrzeżeń, że procent i stopień krótkowidzenia zwiększa się od klasy do klasy, tak że w najwyższych bywa niekiedy do 50 procent krótkowidzów. Za główny powód podaje niekorzystne dla wzroku urządzenia szkolne. Odnośnie do ławek stoły są za nizkie, tak że uczeń musi pisząc zanadto głowę pochylać nad papier. W wielu klasach nie ma odpowiedniego światła, a przez to utrudnione jest patrzenie z normalnej odległości, a na domiar uczniowie zanadto są obarczeni pracą domową, nie pozostawiającą oczom żadnego wypoczynku. Do osłabienia wzroku wiele także przyczynia się nieodpowiedni druk; litery powinny być tak łatwe do czytania, aby ze zdrowemi oczami bez wysilenia można było je czytać z odległości pół metra. Druk literami mniejszemi niż 1,5 milimetra, jest dla wzroku szkodliwy. Prelegent zaleca aby do książek szkolnych i pism peryodycznych, używano jedynie druku *corpus* (1,5 milimetra) i *cicero* (1,75 milimetra).

Dla wytchnienia po pracach naukowych, liczne w Gdańsku nastręczyły się rozrywki. Zaleca on się swą odrębną fizyognomią średniowieczną, a obok tego wre życiem jako miasto portowe, znaczny prowadzące handel. Tak w mieście jak w okolicach spotkać można jeszcze wiele polskich pamiątek, a prosty lud mówi i rozumie po polsku. W tak zwanem Artushof, dawniejszej resursie złotej młodzieży gdańskiej, dziś zamienionej na giełdę, w dolnej sali stoi pomnik Augusta III. Na plafonie sali magistratu jest obraz przedstawiający miasto Gdańsk, a nad nim orła polskiego z rozpostartemi skrzydłami. Turyści podziwiają tu wspaniały kościół N. Panny, zamieniony najnieprawniej na kościół protestancki i zeszpecony ustawionemi w środku jakby izdebkami, mającemi stanowić ogrzane miejsca dla słabych. W tym kościele znajduje się ów sławny obraz przedstawiający „Sąd ostateczny“.

Wiek już blizko jak miasto prowadzi proces z rządem pruskim o zwrot przywłaszczonej świątyni, ale dotąd daremnie domaga się zwrotu. Ciekawy zabytek starożytności przedstawiają także bramy zamykające główne ulice miasta.

Uczestnicy zjazdu zrobili wspólną wycieczkę na morze: na siedmiu parowcach opłynęło całe wybrzeże do półwyspu Hela, poczem powrócili na ląd; a następnych dni zwiedzili Oliwę, Capot i okolice.

W Oliwie spotyka się liczne pamiątki polskie, jako to: obrazy królów i wojewodów, grobowce opatów i nareszcie stół na którym podpisano pokój zwany Oliwskim. Pałac będący własnością rodziny królewskiej dobrze jest utrzymany i otoczony bardzo rozległym i pięknym ogrodem.

∽ Dnia 20 z. m. odbył się w Lizbonie międzynarodowy kongres literacki, na który przybyli nader liczni uczestnicy. Dnia 19 z. m. odbyło się przedwstępne zebranie. Prezesami honorowymi wybrani zostali: pan Mendez de Leol poseł portugalski w Paryżu; znany dziejopisarz Henryk Martin i publicysta portugalski Sampajo. Rzeczywistymi prezesami zostali: słynny pisarz Ludwik Ulbach i polak Chodzkiewicz. Dnia 20 otwarte zostały oba kongresy, antropologiczny i międzynarodowy literacki, w obec obu królów, Ludwika i don Fernando, najwyższych dostojników państwa, ministrów, posłów, poetów i literatów miejscowych i zagranicznych. Przemawiali do króla i do portugalczyków przedstawiciele wszystkich narodowości. Ulbach przemawiał w imieniu Francyi: dziękował królowi że w Portugalii prasa zupełnej używa swobody, czem dotąd jeszcze republika Francya pochlubić się nie może. Po posiedzeniu, królowie rozmawiali z przedstawionemi sobie osobami, nareszcie opuszczono salę przy dźwięku hymnu narodowego. Narady o utworach literackich, rozpoczęły się 21 z. m.

∽ Przed dwoma miesiącami Akademia francuzka rozdawała nagrody cnoty. Z tej okoliczności p. Wiktor Sardou miał piękną bardzo przemowę, a choć uroczystość podobna nie ma nic wspólnego z nauką, mówca umiał nader zręcznie potrącić o kwestyę, wchodzącą poniekąd w dziedzinę nauk przyrodniczych.

Od niejakiego czasu, mówił, wiele osób, opierając się na podstawach naukowych, przypuszcza że często występek jest wynikiem nieprawidłowości władz umysłowych — co prowadzić może do uznania niepoczytalności w razie popełnionego przestępstwa— bo czyż można być odpowiedzialnym za czyn którego niespełnić nie było w naszej mocy? Nieszczęściem wielu psychiatrów za daleko posuwa się na tej drodze, co jest powodem że nie raz w trakcie procesów największych zbrodniarzy, lekarze przemawiają za bezwzględną lub cząstkową niepoczytalnością, żądając aby winowajców odesłano do szpitala obłąkanych — bo jako chorych, należy ich leczyć a nie karać. Otóż p. Sardou potępiał publicznie tę coraz więcej upowszechniającą się dążność, często za nadto pobłażliwą dla zbrodniarzy. Mówił nader zręcznie i z wielkiem umiarkowaniem, i zakończył przemówienie bardzo logicznym wnioskiem, wyprowadzonym na zasadzie owej „manii“ niepoczytalności. „Jeźli, mówił, przywykniemy patrzeć bez wstrętu na najhaniebniejsze czyny, to i najszlachetniejsze nie powinny budzić w nas uniesień uwielbienia. Jeżli przestępca lub zbrodniarz nie jest winny, bo nie może oprzeć się pociągowi popychającemu go do złego, to i człowiek poczciwy i najszlachetniejszy żadnej nie ma zasługi, bo przecież idzie jedynie za wrodzonym sobie popędem do dobrego—a skoro nie ma zasługi, nie ma tem samem za co chwalić go lub nagradzać. Ale idźmy dalej po tej drodze filozofii medycznej, nie cofającej się przed żadnym zasad swoich wynikiem. Powie nam ona, że owe niezwykłe poświęcenia, owe wzniosłe i bohaterskie ofiary które tu nagradzać mamy, nie są czem innem jak tylko pewnym rodzajem „egzaltacyi“.—Bo czyż to się zgadza z rozumem poświęcać dla bliźniego co mamy najdroższego: majątek, zdrowie, życie a często całe nasze szczęście?.. Czyż nie jest to coś nadnaturalnego, chorobliwego, stan nienormalny, słowem *mania poświęcenia?*... mania zaparcia siebie i oddania wszystkiego, jak u innych jest mania zabierania sobie wszystkiego i *usuwania* ludzi co nam zawadzać się zdają?—Po cóż więc i za co mamy nagradzać tych ludzi?... Wszakże ich cnoty i poświęcenia same już ich wynagradzają, to jedyne pożądane przez nich szczęście... W takim razie zebraliśmy się tu zupełnie niepotrzebnie.“

Jakże to wyborna ironia! W tej humorystycznej krytyce *filozofii lekarskiej* mówca wykazuje groźne dla społeczeństwa niebezpieczeństwo wniosków ostatecznych do jakich niektóre poglądy doprowadzićby musiały. A przecież gdzież więcej widzimy dowodów codziennego i zupełnego poświęcenia się dla ludzkości, jak właśnie w pośród doktorów, stających się często sami pierwszemi poświęcenia swego ofiarami! Sami więc zaprzeczają dowodzeniom swej błędnej filantropii. Na nic się nie zdały czcze deklamacye i sofizmata, bo ludzie uczciwi i zdrowo myślący zawsze potępią złe czyny, a cnotę i poświęcenie się dla bliźnich ogólne otoczy uznanie i uwielbienie.

∽ Na posiedzeniach paryzkiej Akademii nauk d. 9 i 16 sierpnia, p. Milne Edwards składał sprawozdanie z wyprawy naukowej odbytej na statku *Travailleur*, w zatoce Gaskońskiej. Komissya osiągnęła bardzo ważne rezultaty. Dobyto z dna morskiego, z głębokości od tysiąca do dziewięciu tysięcy stóp, okazy pokładów podmorskich, oraz mnóstwo skorupiaków, mięczaków, otwornic, przebywających w tych głębinach. Można było przekonać się o istnieniu głębokiej warstwy zielonawoszarego iłu, i o podobieństwie typów zwierzęcych wydobytych na powierzchnię, do znalezionych już pierwej na wybrzeżach Szwecyi i Norwegii. Często sondowanie było bardzo trudne, a przy pomocy wielkich rybackich sieci, otrzymano wiele gatunków zwierzęcych. Pewnego wieczora sieć taka ciągniona była w głębokości około 2,000 stóp i wydobyta o północy. Znaleziono w niej wielkie okazy Gorgonii z rodzaju *Isis*, stanowiące prawdopodobnie nowy gatunek. Przedstawiały one przepyszne zjawisko. Cała część Sarkozomy leżącej między Zoidami wydawała światło fosforyczne zielone tak silne, że wstrząsając temi jestestwami otrzymywało się jakby deszcz ognisty, i wśród najciemniejszej nocy, można było czytać przy niem druk nawet bardzo drobny. Zdobyto tym sposobem kolekcyę bardzo ważną, obejmującą wiele zupełnie nieznanych dotąd zwierząt.

∽ Próby z audifonem w Instytucie Głuchoniemych odbywają się ciągle.

W większości wypadków, jak donosi „Wiek“ próby te dają rezultaty pomyślne, ku czemu przyczynia się może i ta okoliczność, że w audifonach, do prób używanych, a wyrabianych w warsztatach Instytutu, poczynione zostały pewne ulepszenia.

Ulepszenia owe są dotychczas sekretem Instytutu ponieważ audifony tam wyrabiane, na równi z innemi przedmiotami, wykonywanemi przez wychowańców, sprzedawanemi zostają dla powiększenia funduszu Instytutu.

∽ W Stryju, w Galicyi, zaczęło wychodzić czasopismo prowincyonalne: „Kuryer Stryjski“. Wszystkie już prawie większe miasta galicyjskie posiadają swe organa miejscowe.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 7 Октября 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 43 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Zaledwie miss Little wyszła, zaczęłam się krzątać koło ustawienia stalug, gdyż obawiałam się spotkać ze spojrzeniem pana Dawid'a, i wyczytać w niem że pamiętał dobrze o naszem pierwszem spotkaniu. Szczęściem obawy moje były próżne, pan Dawid zdawał się nie poznawać mnie wcale i był dla mnie uprzedzająco grzecznym, przejrzał moje rysunki, wytknął w nich błędy, ale nie tail że jest z nich bardzo zadowolnionym, i wyznaję że słysząc to zarumieniłam się z radości.

Kiedy zajęłyśmy już miejsca przed naszemi stalugami, pan Dawid przechodził od jednej uczennicy do drugiej radził, wskazywał usterki, ale krzesło swoje postawił przy mnie z widoczną przyjemnością przyglądał się mej pracy i począwszy od tej lekcyi; już zawsze tak postępował. Dopiero przy końcu lekcyi odważyłam się prosić pana Dawid'a o zachowanie tajemnicy.

— Panie, rzekłam do niego cicho, kiedy pochylił się ku stalugom, wszak pan nie wspomni nikomu o tej... zatrzymałam się zmięszana i zarumieniona jak piwonija.

— O! nie, ma się rozumiéć, odpowiedział nie czekając abym dokończyła. Może pani polegać na mnie. Powiedział to tak stanowczo i z wyrazem takiego współczucia że obudził we mnie ufność, i uspokoiłam się zupełnie.

Dzięki tej wspólnej nam tajemnicy: tak sumiennie przez niego dochowywanej, i ciągłej jego uprzejmości dla mnie, wywiązał się między nami jakiś przyjazny stosunek nie istniejący wcale pomiędzy nim a innemi jego uczennicami. Wskazywał wszystkim z zupełną bezstronnością popełnione błędy, uczył, radził, poprawiał, ale ja byłam najulubieńszą jego uczennicą; chociaż nie umiem powiedziéć z pewnością co mu się we mnie podobało więcej, czy moje zdolności, czy też moje dobroduszne szczebiotanie.

Cieszyło go moje zamiłowanie do malarstwa, starał się usilnie o rozwinięcie mych artystycznych zdolności, i nie raz przedłużał znacznie lekcyę, jedynie aby mi dopomódz do pokonania jakiejś trudności. Jednocześnie chwytał każdą sposobność okazania mi jak dalece obchodzi go moje szczęście, i różnemi sposobami starał się dać mi do zrozumienia, że przyjemność jaką mu sprawiała każda bytność na naszej pensyi nie wypływała wyłącznie z dumnego zadowolnienia że posiada uczennicę rokującą tak piękne nadzieje. Ja odpłacałam przychylność pana Dawid'a szczerą życzliwością, może dla tego poniekąd że był dla mnie przedstawicielem tej sztuki którą tak umiłowałam, a powtóre że tak mało odbierałam dowodów przywiązania, gdyż wszystkie osoby z któremi się spotykałam (z wyjątkiem kuzyna Ulryka i Felicyi) okazywały mi tyle oziębłości, że byłam szczęśliwą znajdując przyjaciela w moim nauczycielu.

Tak więc lekcye pana Dawid'a stały się dla mnie jedną z największych przyjemności, i oczekiwałam na nie zawsze z najżywszą niecierpliwością. Pan Dawid umiał rozmawiać, a że był anglikiem (pomimo że już od wielu lat przeniósł się na ląd stały) rozmowa z nim była dla mnie przyjemniejszą niżeli z jakimś cudzoziemcem.

Zaczął mi najprzód opowiadać różne szczegóły ze swej przeszłości, co skłoniło mnie do wspomnienia o moich dziecinnych latach, następnie do opisania śmierci matki, a nawet jakim sposobem kuzyn Ulryk wziął mnie do siebie. Najlepiej lubiłam mówić o moim opiekunie, uszczęśliwiona że znalazłam kogoś słuchającego uważnie gdy wyliczałam z uniesieniem wszelkie zalety i cnoty mego bohatera, a co więcej zachęcającego mnie nawet do mówienia o Rockborough i zbytkach jakiemi byłam otoczona w domu mego opiekuna. Przypuszczał że doktór Ford, musi być bardzo bogatym, a ja pozostawiłam go w tem mniemaniu, gdyż nie byłam wolną od śmieszności właściwej większej części młodych panienek, i lubiłam się pysznić zbytkownem urządzeniem domu, i dostatkami jakie mnie w nim czekały.

— O! tak, zawołałam. Wiele osób utrzymuje że kuzyn Ulryk jest najbogatszym w całym Rockborough, ma trzy śliczne powozy, cztery najpiękniejsze w mieście konie, i obiecał że mi kupi wierzchowca jak tylko ukończę nauki i wrócę do niego.

— Domyślam się więc — trochę więcej cieniu na pierwszym planie, miss Fleming; — domyślam się więc że ten wzór opiekunów musiał pani wyznaczyć sporą sumkę na drobne wydatki.

— O! ma się rozumiéć, daje mi więcej niż mogę wydać, gdyż siedząc tu zamknięta jak w klasztorze, nie mam sposobności zużytkować tych pieniędzy. Zdaje mi się że gdybym prosiła go o tysiąc funtów, nie odmówiłby mi ich zapewnie.

Powiedziałam to jedynie przez chełpliwość, nie myśląc bynajmniej wystawiać szczodrobliwości kuzyna Ulryka na taką próbę.

— A! bardzo to pięknie z jego strony, szepnął pan Dawid, ale też zdaje mi się że trudno byłoby odmówić coś pani. Trochę więcej światła pomiędzy gałęziami tego drzewa, tak, teraz lepiej.—Muszę prosić miss Little aby nam pozwoliła korzystać z ostatnich pięknych dni i odbywać lekcye w ogrodzie; chciałbym aby pani zaczęła malować z natury, a widziałem w tym ogrodzie drzewa zasługujące na to aby je przenieść na płótno.

Miss Little zezwoliła na to chętnie; następna lekcya odbyła się już w ogrodzie, gdzie poustawiano w różnych punktach nasze stalugi. Było to w początkach października, dni były ciepłe i pogodne, tylko liście na drzewach zaczęły już przybierać purpurową barwę. Pan Dawid wybrał jedno z najpiękniejszych drzew aby nam służyło za wzór, i życzył sobie ażeby każda z nas odmalowała je z innej strony, i kazał stosownie do tego poustawiać nasze stalugi; moje umieścił przy ścieżce ocienionej krzewami, i jak zwykle postawił przy nich swoje krzesło pomimo że równie jak dawniej nie zapominał o innych swych uczennicach

Spostrzegłam po kilku lekcyach że nasz przyjazny stosunek czynił szybkie postępy. Pan Dawid przestał mnie nazywać miss Fleming, i mówił do mnie poprostu Teodoro. Co prawda, dzięki memu odosobnieniu od moich towarzyszek, rozmawiałam z nim tak swobodnie, z taką ufnością, że jak to czuję teraz, upoważniłam go nie wiedząc o tem, do podobnej poufałości!

Nie mogę powiedziéć abym się przywiązała do pana Dawid'a, ale uznanie jego dla mego talentu pochlebiało mej dumie, i byłam mu wdzięczną za okazywane mi przywiązanie; w każdym jednak razie, gdyby nie straszne odkrycie które mi dało poznać kim był w istocie, byłabym pożegnała Antwerpiję i mego nauczyciela z takim: tylko żalem z jakim żegnamy zwykle miłe znajomości.

Pewnego dnia po południu, (o! ten dzień zapisał się w mej pamięci niezatartemi zgłoskami) pan Dawid wyjawił mi coś takiego, co wpłynęło bardzo niekorzystnie na moje dla niego uczucia, a pomimo to połączyło nas ściślej z sobą.

Skończyłam właśnie moje drzewo; tryumfująca i dumna z tego że pan Dawid nazwał tę pierwszą moją próbę mistrzowskiem dziełem. Siedząc przed stalugami rozmawiałam z mym nauczycielem, dodając od niechcenia tu trochę światła, tam znów trochę cienia. Pan Dawid zwrócił właśnie rozmowę na Saltpool, i zaczęłam mu opisywać z zapałem dziką piękność tego samotnego wybrzeża, kiedy mi przerwał pytaniem, zkąd mogło pochodzić to niezwykłe moje zamiłowanie do malarstwa objawiające się już w dziecinnym wieku?

— Bo niepodobno zaprzeczyć, dodał, że posiadasz pierwszorzędny talent, a podobne zdolności otrzymujemy zwykle prawem spadku. Czy matka twoja rysowała?

— Nie sądzę; moja biedna matka była zawsze tak cierpiąca że leżała prawie ciągle. Nie widziałam jej nigdy z ołówkiem w ręku.

— Więc może ojciec twój, Teodoro, był artystą; powiedział pan Dawid malując krzak paproci u stóp mojego drzewa.

— O moim ojcu nie mogę nic powiedziéć, rzekłam, byłam jeszcze tak mała kiedy od nas odjechał, że go sobie wcale nie przypominam.

— Ale matka musiała często mówić o nim z tobą?

— Nigdy! tylko często płacząc nazywała mnie biednem dzieckiem pozbawionem opieki ojca.— Czy to drzewo nie potrzebuje już żadnej poprawki, panie Dawid?

— Żadnej; i trzeba przyznać że jak na początkującą artystkę przewyższyłaś wszelkie moje oczekiwania. Na przyszłą lekcyę przyniosę ci do skopijowania mój obraz przedstawiający tutejszą katedrę. Ale wracając jeszcze do twego ojca, Teodoro, musisz zapewnie pamiętać że nosiłaś po nim żałobę.

— Nie, doprawdy; nie przypominam sobie abym kiedy przed śmiercią matki nosiła żałobę.

— To dziwne; doprawdy, zwłaszcza, jeżeli jak powiadasz, ojciec twój rzeczywiście już nie żyje.

Te słowa zmięszały mnie, gdyż i mnie, od czasu jak więcej zaczęłam zastanawiać się nad moją przeszłością, wydawało się to dziwnem; i nie raz zadawałam sobie pytanie co mogło być tego przyczyną,

a w końcu nabrałam przekonania że i ta okoliczność stanowi część tajemnicy otaczającej mego ojca.

— Przychodziło mi nie raz na myśl, rzekłam zarumieniona silnie, że ponieważ w Saltpool byłyśmy zmuszone utrzymywać się bardzo skromnie, matka moja może nie mogła sprawić mi żałoby.

— Mylisz się, Teodoro; pochodziło to z innego powodu, powiedział pan Dawid.

Spojrzałam na niego z najgłębszem zdumieniem. Zkądże on mógł znać jakieś szczegóły dotyczące mej rodziny? Zdaje mi się że nie zadziwiłabym się już więcej gdyby mi powiedział że nie nazywam się Fleming.

— Zkąd pan może to wiedzieć?... zawołałam z pewnem odcieniem dumy.

— Bo ojciec pani nie umarł; bo wiem że żyje dotąd jeszcze, odpowiedział spokojnie.

— Żyje!... A! panie, kto to panu powiedział?

Usłyszawszy to zaczęłam drżyć jak liść osiczyny poruszany wiatrem. Nie myślałam nigdy tak bardzo o moim ojcu, i pamięć jego nie była dla mnie tak drogą jak pamięć matki, ponieważ nie znając go wcale, nie mogłam ocenić wielkości straty jaką poniosłam przez śmierć jego. Ale wiadomość że mnie oszukano, że on dotąd żyje, że go będę mogła poznać i kochać, że będę mieć ojca, była dla mnie tak niespodziewaną że wstrząsnęła całą moją istotą.

Nie mogłam w tej chwili zastanawiać się o ile podobna wiadomość była prawdopodobną, żądać dowodów jej prawdziwości, a nawet wyrazić mego zadziwienia; przycisnęłam tylko rękę do gwałtownie bijącego serca, a krótki, przerywany mój oddech stał się podobnym do konwulsyjnego łkania. Pan Dawid starał się mnie uspokoić, obawiając się aby moje towarzyszki nie dostrzegły mego wzruszenia.

— Uspokójże się Teodoro, rzekł z żywością. Staraj się zapanować nad sobą, albo nie powiem ci już nic więcej.

— Już jestem spokojna, odpowiedziałam starając się opanować moje wzruszenie. Powiedz mi pan wszystko, proszę, zaklinam pana. Czy znasz mojego ojca? Czy go widziałeś? Czemu nie dowiedziałam się tak długo że jeszcze żyje?

Byłam tak wzruszona że mi tchu brakowało, ale i pan Dawid nie zdawał się zupełnie spokojnym.

— Znam twego ojca, odpowiedział po chwili milczenia. Widziałem go nie dawno; co do trzeciego pytania, nie mogę na nie odpowiedzieć.

— Gdzież on jest? O! powiedz mu pan niech tu przyjdzie, niech pozna biedne swe dziecko które nawet nie przypomina go sobie wcale.

— Przyjdzie; możesz być tego pewną, ale musisz zachować najgłębsze milczenie o tem co ci powiedziałem. Teraz muszę ci dowieść jeszcze że możesz mi zaufać zupełnie.

Wyjął z kieszeni kilka małych paczek i włożył mi je w ręce.

— Czy wiesz, Teodoro, kogo to przedstawia? zapytał, kiedy drżącą ręką rozwijałam jedną z tych paczek.

Zobaczyłam wtenczas daguerotyp, a jakkolwiek był już bardzo zmieniony i wyblakły, poznałam natychmiast rysy mej matki uśmiechającej się do dziecka które trzymała na kolanach. Nie miałam żadnego portretu matki, dla tego też ten tak silne sprawił na mnie wrażenie jak gdyby ona sama stanęła mi przed oczyma, i spojrzała na mnie z tym swoim łagodnym uśmiechem Łzy płynęły mi z oczu kiedy patrzyłam na te drogie mi rysy, wyrażające później tyle smutku i cierpień.

— Mama, mama! zawołałam upadając na kolana.

— Tak, twoja matka, odpowiedział pan Dawid. Twoja matka trzymająca cię na kolanach. Ty nie możesz tego pamiętać, Teodoro, ale ja byłem obecnym gdy ten daguerotyp zdejmowano.

— Pan! zawołałam powstając. Byłeś więc przyjacielem mych rodziców; o! czemuż mi nie powiedziałeś tego prędzej?

— Bo chciałem pierwej zyskać twe zaufanie, zanim je wystawię na tak ciężką próbę. Przeczytaj teraz te listy, Teodoro, i bądź przekonaną że pokazując ci je nie dopuszczam się zdrady.

Wzięłam je z rąk jego i przeczytałam szybko. Były to listy od mej matki pisane z Saltpool, a jakkolwiek były bardzo krótkie; posiadały niezaprzeczone cechy autentyczności.

— Ale te listy były pisane do mego ojca, jakimże sposobem dostały się do rąk pana?

— Zostałem upoważniony do pokazania ci ich, i zapytania się czy jesteś usposobioną przyjąć twego ojca z uczuciem dobrej i kochającej córki.

W sercu mojem odezwało się w tej chwili żywe przywiązanie do tego nieznanego ojca; nie zadawałam sobie pytania dla czego był mi nieznanym. i czemu byliśmy tak długo rozłączeni; pamiętałam tylko o tem że żył jeszcze i pragnął poznać swą córkę.

— Jestem, o! jestem! zawołałam z radością. Jakże może powątpiewać o tem? Powiedz mu pan że pragnę gorąco znaleźć się jak najprędzej w jego objęciach.

— Czy tak jest rzeczywiście? zapytał mój nauczyciel zbliżając się do mnie. W takim razie i on także gotów jest przycisnąć cię do swego serca.

Po tych słowach, pan Dawid przycisnął mnie do swych piersi.

Byłam tem oburzona do najwyższego stopnia; czułam się znieważona, i odpychałam go od siebie rozpaczliwie; i pragnęłam aby jakaś przepaść oddzieliła mnie od mego nauczyciela.

— Puść mnie pan! zaowłałam. Jak śmiesz? Jak mogłeś się ośmielić.

Odpowiedź jego jak grom spadła na mnie.

— Jak mogłem się ośmielić? Teodoro, nie wyrażaj się tak nigdy mówiąc do mnie; gdyż jestem... twoim ojcem!

XIV.

Dalszy ciąg dziennika Teodory.

Gdy to usłyszałam krew lodem ścięła mi się w żyłach i chyba przez chwilę musiała przestać krążyć; potem nagle odskoczyłam od p. Dawid'a z tak widoczną odrazą, iż nie mógł tego nie dostrzedz; to też odwrócił się marszcząc brwi, a ja zasłoniłam twarz rękami.

Dopókąd mówił mi o moim nieznanym ojcu, wyobraźnia stawiała mi przed oczy jego obraz. Prawdopodobnie musi być bardzo stary i znękany strapieniami i niepowodzeniem, a może nawet schorowany i potrzebujący tkliwych starań kochającej córki. Zapewnie także jest zupełnie biedny, gdyż inaczej nie byłby i matki i mnie pozostawiał w takim niedostatku. Ale obok tego musi być przedewszystkiem gentlemenem, szlachetnym i dumnym Anglikiem, którego z radością uznam za ojca. No, zapewnie nie jest tak uosobioną doskonałością jak kuzyn Ulryk (bo nie mogło być na świecie dwóch takich ludzi jak mój opiekun), ale niezawodnie zachodzi między nimi pewne podobieństwo moralne, i tylko smutny zbieg okoliczności, przeciwności i niepowodzenie, wpłynęły niekorzystnie na jego humor i usposobienie, i uczyniły ponurym odludkiem, czującym żal do świata i ludzi. Ale nigdy mi nie powstało w myśli przypuszczenie, aby ojciec mój mógł być podobnym do mego nauczyciela rysunków, do takiego pana Duval.

Wspomniałam już że czułam szczerą życzliwość dla mego nauczyciela rysunków; podziwiałam jego talent artystyczny, byłam mu wdzięczną za jego cierpliwość i rady jakich mi udzielał podczas lekcyj, i może polubiłabym go więcej jeszcze dowiedziawszy się że był przyjacielem moich rodziców — ale w głowie mi się pomieścić nie mogło aby on mógł być człowiekiem którego powinnam ukochać miłością synowską, być mu posłuszną i uznać jego nad sobą władzę. Gdy przyszło mi na myśl że cała przyszłość moja od niego ma zależeć, Boże odpuść, ale w tej chwili uczułam że go nienawidzę.

— Widzę że wyznanie to nie podoba się pannie Teodorze, rzekł pan Dawid stając przed memi stalugami.

Opuściłam ręce w których ukrywałam twarz moją i wpatrzyłam się bacznie w człowieka któremu miałam być winną życie. Siedział spokojnie: długa siwiejąca broda spadała mu na piersi i całą prawie twarz zajmowała, tak że uwydatniał się tylko dość duży nos orli, i czarne przenikliwe oczy zapatrzone w mój rysunek. Był to piękny mężczyzna, doskonały typ zaniedbanego artysty, wzorowy nauczyciel rysunków—ale wydawało mi się nie możliwem aby mógł być moim ojcem.

— To nie prawda, wyszeptałam, żartujesz pan ze mnie.

Spojrzał na mnie bystro i zdawał się bawić moim kosztem. Słowa które wypowiedziałam zdradzały widać wrodzony upór i niedowierzanie.

— Mało ci jeszcze dowodów jakie przedstawiłem, rzekł kładąc rękę do kieszeni, oto masz inne jeszcze. Oto akt ślubu mego z twoją matką, a to twoja metryka—zdaje się że one zdołają cię przekonać?... Ale może ukradłem je i przywłaszczyłem sobie razem z fotografią...

Nie zastanowiłam się nad tem co mówił, tylko zalane łzami oczy wlepiłam w podane mi papiery, czytając akt ślubu Dawida Fleming z Cecylją Halsted i metrykę chrztu ich córki, odbytym w angielskiej kaplicy w *Boulogne-sur-Mer*. Pierwszy raz w życiu miałam w ręku podobne dokumenta, mogłam jednak poznać że nie były fałszywe.

— Dla czegóż więc; zawołałam zwracając się ku niemu i przypominając sobie wiele bardzo zapomnianych szczegółów, dla czegóż jeźli to co pan mówisz jest prawdą, nigdy cię nie widziałam i nigdy dotąd nie dałeś mi wiedzieć nic o sobie? Jeźli rzeczywiście jesteś pan moim ojcem, czemuż nie nazywasz się Fleming? cóż takiego popełniłeś aby wstydzić się i zapierać swego nazwiska?

W tej chwili nie byłam już jak dotychczas posłuszną i uległą uczennicą! Jeszcze przed tygodniem, gdy myślałam że ojciec mój nie żyje, gotowa byłam bronić postępowania jego chociéby najnielogiczniejszemi argumentami, ale dowiedziawszy się że nie umarł i widząc go przed sobą, z gorączkową niecierpliwością pragnęłam poznać powód tak długiego naszego rozłączenia.

— Dla czegóż aż dotąd nigdy nie zapragnąłeś nawet mnie zobaczyć? zapytałam nieco opryskliwie. Czy wiesz że mam rok szesnasty i że kochana, biedna matka moja byłaby umarła opuszczona od

wszystkich, gdyby kuzyn Ulryk nie ulitował się nad nią?—Gorzkie to wspomnienie łzy wycisnęło z moich oczu.

Pan Dawid, (nie mogłam się przemódz aby nazywać go ojcem) jak najspokojniej poprawiał mój rysunek, jak gdyby od tego zależały losy świata.

— Wytłomaczę ci to wszystko jak będziesz spokojniejsza, rzekł delikatnie wodząc pendzlem, a wtedy poznasz że nie straciłem prawa do szacunku mej córki. Sądziłem iż zdołałem pozyskać jej przywiązanie, ale przekonywam się iż marząc o takiem szczęściu, byłem po prostu nierozsądnym zarozumialcem.

Usłyszawszy te słowa zaczęłam ostre czynić sobie wyrzuty; jak mogłam taką zrobić mu przykrość? cóż temu winien że nie jest takim jakim marzyłam że być powinien? zawsze jest przecie moim ojcem i winnam okazywać mu choć pozorne względy i uszanowanie.

— Przykro mi, rzekłam przybliżając się do niego, nie sądziłam... wszystko to tak nowem i niespodziewanem jest dla mnie... Przebacz że odezwałam się podobnie...

Pan Dawid położył pendzel i ujął moje ręce.

— Przebaczę ci, drogie dziecię, ale pod jednym warunkiem, — że odtąd będziesz nazywać mnie ojcem.

Ach jakże ciężko mi było wymówić to słowo! zdawało się że uwięzło mi w gardle; wypowiedziałam je w końcu, ale tak nieśmiało i niewyraźnie głosem tak obojętnym, iż nie był to głos serca, ale raczej parodja świętej nazwy jaką z ust moich usłyszeć pragnął. Jednakże pan Dawid okazał się zadowolnionym.

— Zgoda, rzekł zachęcająco. Przyznaję że masz zupełne prawo żądać odpowiedzi na postawione mi pytania, i bynajmniej nie wymawiam się od tego; pojmujesz że podobnego wytłomaczenia nie można dokonać w parę minut, musisz więc być cierpliwą do przyszłego czwartku.

— Do czwartku? zawołałam ze zdziwieniem; więc i nadal będziesz mi dawać lekcye malarstwa? nie powiesz miss Little że jesteś moim ojcem?

Z kolei, pan Dawid spojrzał na mnie z zadziwieniem.

— Czy głowę tracisz, moje dziecko? nie powiem tego ani miss Little, ani nikomu w świecie, i ty powinnaś zachować w najgłębszej tajemnicy wszystko co ci powiedziałem, wymagam tego bezwarunkowo.

— Jakto? mam ukrywać to... do końca życia? wyszeptałam.

— Tak jest, chyba żebym cofnął mój zakaz, odrzekł stanowczo. A widząc moje zdziwienie i pomięszanie, dodał: Teraz nie mogę tłomaczyć się jaśniej, powiem więc tylko: nie zapominaj ani na chwilę że *spokój mój i bezpieczeństwo* od tego zależą.

To co powiedział było aż nadto dostatecznem abym szanowała jego zakaz i nikomu nie zwierzyła się ani jednem słówkiem, choćby nawet wcale nie udzielił mi przyobiecanych objaśnień. Słowa pana Dawid'a przeraziły mnie niewymownie, i gdy dnia tego opuszczał pensyę, w sercu mojem zbudziło się smutne przeczucie, że odtąd przyjdzie mi pożegnać się ze swobodą moich lat młodocianych. To też gdy wieczorem, znękana fizycznie i moralnie, złożyłam na poduszki znużoną głowę, miałam mocną gorączkę a obok tego dręczyły mnie niewysłowione męczarnie moralne. Coraz większa ciemność osłaniała przedemną przeszłość mego ojca; daremnie łamałam sobie głowę aby zrozumieć znaczenie ostatnich słów jego. Nie mogłam także nabyć przekonania że odzyskałam ojca, w osobie mego nauczyciela rysunków, a im więcej zastanawiałam się nad tem, tem wstrętniejszą sama ta myśl stawała się dla mnie. Chwilami dochodziłam do wniosku że wszystko co mi powiedział pan Dawid było fałszem i zmyśleniem, to znowu mówiłam sobie że muszę mieć bardzo złe serce skoro nie dziękuję Opatrzności że mnie tak samej prawie na świecie zsyła nowego obrońcę i przyjaciela. Tajemne przeczucie mówiło mi nie jest człowiekiem, któryby mógł podobać się kuzynowi Ulrykowi, a nie zniosłabym tego żeby ojciec mój i opiekun obojętni byli dla siebie.

To znów zadawałam sobie pytanie, czemu, jeżli pan Dawid był rzeczywiście moim ojcem i mężem matki mojéj, czemu dozwolił nam wieść tak smutne i osamotnione życie; czemu opuścił biedną matkę moją a mnie po jéj śmierci bez żadnej zostawił opieki? Dla czego od tylu już lat żył zdała od nas, pod przybranem nazwiskiem? A na żadne z tych zapytań nie umiałam, nie mogłam sobie odpowiedzieć, co więcej musiałam przypuszczać że zapewnie istnieją jakieś naganne tego powody.

Na tę myśl, ukryłam głowę w poduszki i gorzko zapłakałam, ubolewając nad uczynionem mi wyznaniem. Przed tem, dość lubiłam pana Dawid'a jako mego nauczyciela rysunków. obecnie i chciałabym nie widzieć go więcej i zarazem niecierpliwie wyglądałam czwartku, w którym miałam usłyszeć żądane objaśnienia. Nazajutrz rano zwlokłam się z łóżka znękana fizycznie i moralnie, ciało i dusza zarówno cierpiały; ciążyła mi na sumieniu tajemnica której pomimo najgorętszej chęci nie mogłam powierzyć nikomu.

Nadto czułam że skutkiem tego odkrycia, od wczoraj postarzałam o lat kilka, że nie byłam już dziewczynką ale kobietą. Felicyta spostrzegła zaraz i dziwiła się nadzwyczaj że tak nagle zaszła tak uderzająca zmiana i w wyrazie twarzy i w obejściu mojem. „Musisz być cierpiąca, rzekła mi, bo masz oczy podsiniałe, chód ciężki i chwiejny.“ I tak serdecznemi i natarczywemi zarzuciła mnie pytaniami, iż już miałam zdradzić straszną tajemnicę, aż nagle przypomniałam sobie zalecenie pana Dawid'a, zamilkłam więc pomimo nalegań innych także koleżanek, aż nareszcie znudzone i zniechęcone moją skrytością po kilku dniach przestały mnie badać.

Nadszedł nareszcie czwartek, a ja rozgorączkowana z niepokojem w duszy oczekiwałam chwili w której miałam rozmówić się na osobności z panem Dawid'em. Przybył o zwykłej godzinie, grzeczny i swobodny jak zawsze, zaczerwieniłam się bardzo; gdy na powitanie ujął moją cofającą się przed nim rękę, obawiałam się aby koleżanki moje nie dostrzegły że wita mnie daleko serdeczniej. Była to już ostatnia lekcya na wolnem powietrzu, więc też równie gorąco jak mój nauczyciel pragnęłam tak ustawić moje stalugi, aby uniknąć ciekawych spojrzeń i uwag moich towarzyszek. Tak niecierpliwie oczekiwałam przyobiecanych wyjaśnień, iż drażniło mnie niewymownie że pan Dawid najspokojniej w świecie robi swoje uwagi moim koleżankom, gdy nareszcie zwrócił się do mnie udzielił mi niektóre wskazówki odnośnie do rozpoczętego szkicu, ale nie tylko ani jednem słówkiem ale nawet spojrzeniem nie okazał że pojmuje i podziela moją niecierpliwość. Oburzona tem jego postępowaniem które uważałam za zupełny brak współczucia, pochwyciłam kredkę i zaczęłam kreślić niedbale daną mi do przekopiowania grupę, a gdy nakoniec zwrócił się ku mnie po dłuższej daleko, niż kiedykolwiek nieobecności, znalazł mnie bardzo źle względem niego usposobioną.

— Więc tedy? zapytałam gdy pochylił się aby poprawić szkic mój pośpiesznie narysowany w gniewie.

— Więc tedy? powtórzył tonem wcale nie tak grzecznym jak ten w jaki zawsze przemawiał do mnie.

— Oczekuje przyobiecanych wyjaśnień, rzekłam nieco łagodniej, gdyż dźwięk głosu pana Dawid'a przypomniał mi nasze względem siebie stanowisko.

— W takim razie należało trochę grzeczniej poprosić o nie, odpowiedział; nawet *tylko* uczennice moje nie przemawiają do mnie w podobny sposób.

— Ale tak jestem niespokojna... wyszeptałam.

— Niepokój bynajmniej nie wyklucza grzeczności, odrzekł; a teraz o cóż chcesz pytać? słucham najuważniej.

Przygotowałam cały szereg zapytań odnoszących się do jego praw rodzicielskich, pytań które w ogóle tchnęły wielkim pod tym względem niedowierzaniem) a dopiero jeżliby zdołał niezbitemi dowodami wykazać łączące nas węzły, zamierzałam zapytać jak mógł zostawić nas w Saltpool w tak opłakanem położeniu,—gdy jednak objawił tak spokojnie i stanowczo ojcowską swoją władzę, odbiegła mnie odwaga i zaledwie zdołałam powiedzieć:

— Proszę opowiedzieć mi wszystko... chciałabym poznać dzieje twego życia od początku do końca.

— Oho, długo trzebaby mówić o tem, odrzekł śmiejąc się, ułatwij mi to zadanie panno Doro, zadając pytania na które pragniesz mieć odpowiedź.

— A więc dla czego opuściłeś mnie i biedną matkę moją, dla czego nie przybyłeś dowiedziawszy się o jej śmierci? zapytałam żywo ale zarazem z obawą jak przyjmie to pytanie. Kończąc je, spojrzałam na niego z pod oka i postrzegłam że zmarszczył brwi.

— Są rzeczy które trudno tłomaczyć dzieciom, rzekł po chwili milczenia, postaram się jednak zadowolnić cię o ile można. Wiesz zapewnie że zaślubiłem matkę twoją wbrew woli jej rodziców i rodziny?

— Nie wiem o niczem! odrzekłam z nietajoną goryczą, dotknięta do żywego że mnie nazwał dzieckiem. Wychowano mnie w zupełnej nieświadomości wszystkiego co tylko tycze się przeszłości obojga rodziców moich.

— Tem lepiej, rzeczy niemiłych nigdy za późno dowiedzieć się nie można. Oto jak było... Dziadek twój, sir Lionel Halsted...

— Czy to ten gentleman co mieszka w Trampton? przerwałam.

— Tak; zapewnie znasz tę jego majętność?

— Nie znam wcale; a jak mówi kuzynka Maryanna, nie poznam jej nigdy, gdyż dziadek nie chce mnie widzieć.

— Ha! ha! karać dzieci za grzechy rodziców, to mi dopiero chrześciańska zasada! Jednak wnosząc z twego opisu waszego mieszkania w Rockborough, nie straciłaś na zamianie. Trampton jest to piękna ale nader posępna rezydencya... zawsze bardzo tam było nudno, a teraz...

— Wszak tam poznałeś moją matkę? przerwałam.

— Tak, poznałem a następnie poślubiłem, i było to najopłakańsze szaleństwo jakie mogliśmy popełnić. Niepodobna mi tak szczegółowo opisać ci przeszłość, abyś mogła ocenić słuszność tego co powie-

działem; dodam tylko że sir Halsted i cała rodzina tak nieubłaganie niemiłosiernymi okazali się dla nas po ślubie, iż postanowiliśmy sobie zerwać wszelkie z nimi stosunki.

— Ale kochaliście i wiecznemi połączyli śluby, więc dla czegóż opuściłeś matkę moją? zapytałam patrząc mu w oczy.

— Córko kochana, odrzekł, jesteś jeszcze za młoda, ale gdy więcej nabierzesz doświadczenia, dowiesz się że najgorętsza miłość nie daje chleba. Kilka lat przemieszkaliśmy z matką twoją na stałym lądzie i w przeciągu tego czasu ty przyszłaś na świat. Ważne interesa powołały mnie do Paryża, a że matka twoja coraz więcej była cierpiąca, zatem z porady doktorów, wraz z tobą odesłałem ją do Saltpool.

— I tam dozwoliłeś jej umierać, w biedzie i opuszczeniu! zawołałam zalewając się łzami i tupiąc nogą.

— A toż znów co! zawołał pan Dawid, cóż to za wybryków pozwala sobie ta mała nóżka. Proszę zaprzestać tego, panno Doro, nie gramy przecież tragedji.

— Dla czegóż nigdy nie odwiedziłeś nas w Saltpool? zawołałam nie zważając na jego wypomnienie.

— Po prostu dla tego że nie mogłem, i miałem właśnie powiedzieć ci powody gdyś mi przerwała. Wydatki nasze domowe były daleko znaczniejsze niż sobie obliczałem i o wiele przechodziły możność moją; to zniewoliło mnie do zaciągnięcia długów, w skutku czego nie mogłem wracać do Anglii z obawy aresztowania, i oto dla czego nie towarzyszyłem matce twojej do Saltpool... Zresztą łudziłem się nadzieją że matka twoja wkrótce odzyska zdrowie i przyjedzie do mnie do Paryża.

— Ale gdy dowiedziałeś się że jest to dla niej niemożliwem i że życie jej stało się jednem nieprzerwanem cierpieniem...

— Wiem już, wiem co chcesz powiedzieć, przerwał, i dodam na moje usprawiedliwienie, że wtedy właśnie w nowe zawikłałem się kłopoty. Byłem tak nierozważny iż pozawierałem blizkie stosunki z literatami należącymi do pewnego stronnictwa politycznego, i to wkraju gdzie prassa była nadzwyczaj ścieśnioną; a nie dość na tem zostałem członkiem redakcyi dziennika, zamkniętego następnie z powodu głoszenia zasad republikańskich, co zniewoliło mnie opuścić Paryż wraz z moimi kolegami. To także zmusiło mnie, czasowo przynajmniej zmienić nazwisko.

Wysłuchałam uważnie tego tłómaczenia, a choć wydało mi się mdłe i niezadawalniające, nie śmiałam go odrzucić, mówiąc sobie że jestem jeszcze za młoda abym mogła wyrokować w podobnych kwestyach, i może być że to co mnie wydaje się niedostatecznem i nagannem, znającym świat i życie wydałoby się dostatecznie usprawiedliwiającem. Nie mogłam jednak przebaczyć zupełnego opuszczenia w jakiem dogorywała nieszczęśliwa matka moja, ani też rozgrzeszyć ojca że zniewolił mnie uciekać się do litości obcych.

— Mogłeś przynajmniej pisywać, rzekłam, donosić nam gdzie jesteś i co porabiasz.

— Takie odezwanie się dowodzi nieświadomości twojej moje dziecko, odrzekł śmiało pan Dawid. Pisując i odbierając listy, odkryłbym tem samem miejsce mego pobytu i naraził osobiste moje bezpieczeństwo,—a potem choć bardzo cierpiałem dowiadując się o wszystkiem co w ostatnich latach zaszło w Saltpool, czułem dobrze iż obecność zwiększyłaby jeszcze cierpienia twej matki. Miała ona wiele nader szacownych przymiotów, ale brakowało jej ostrożności i przezorności, i gdybym nie był poznał że ty różnisz się w tem od niej, nie byłbym nigdy wyjawił ci tak ważnej tajemnicy, gdyż i dotąd ciąży na mnie wyrok który zniewolił mnie opuścić Francyę. I teraz ukrywać się muszę, a wyjawienie tej tajemnicy, pociągnęłoby za sobą moje zaaresztowanie i wtrącenie do więzienia.

— A ja mogłabym była umrzeć z głodu lub co najszczęśliwiej być oddana do jakiegoś dobroczynnego zakładu, rzekłam, wracając do moich zarzutów.

— Tak się tylko zdaje, ale w rzeczywistości wiedziałem że nic podobnego ci nie zagraża, gdyż powiedziano mi że kuzyn twój Ulryk wziął cię pod swoją opiekę i że na niczem ci nie zbywa.

— Jakimże sposobem dowiedziałeś się o tem?

— Wyczytałem w gazetach wezwanie jakie ogłosił do mnie doktór Ford. Jestem biedny, Doro, i nie miałem za co wychować cię odpowiednio, tak więc zgłaszając się po ciebie, byłbym ci bardzo złą oddał przysługę, gdyż pozbawiłbym cię tkliwej opieki i rozumnego kierownictwa. Jak powiedziałem, jestem bardzo, bardzo biedny; nie mam nic nad szczupły dochód, z kilku dawanych lekcyi, co zaledwie wystarcza na nędzne bardzo utrzymanie; miałżem więc wystawić cię na tak dotkliwy niedostatek. Teraz przeciwnie masz wszystko czego tylko zapragnąć możesz; otacza cię zbytek i wszelkie przyjemności życia, masz pieniądze i przyjaciół, —jestem więc spokojny i zadowolniony widząc cię szczęśliwą, choć sam w tak smutnem znajduje się położeniu.

Ostatnie słowa zdawały się zdradzać szlachetne, bezinteresowne uczucie, a jednak niemile zrobiły na mnie wrażenie, tak czułam w nich fałszywą jakąś nutę, to też odpowiedziałam tylko oklepanym frazesem że uczucie więcej warte niż bogactwo i że córka powinna być przy ojcu. Pan Dawid jednak nie podzielał tego zdania.

— O nie! nigdy! odrzekł potrząsając głową; dręczący mnie niedostatek jest tak ciężkim i trudnym do zniesienia, iż za nic w świecie nie chciałbym narażać cię na niego. A potem twój kuzyn Ulryk jest bardzo do ciebie przywiązany, i obojgu wam byłoby boleśnie rozstać się z sobą. Nie zapominaj tylko Doro, o ojcu twoim tak nieszczęśliwym że nie może cię przyznać publicznie i choć świat ma go za uma rłego, ty choć niekiedy wspomnij sobie o nim. O! gdybyś wiedziała jakie zawładnęły mną uczucia gdy po raz pierwszy ujrzałem cię na Zielonym placu i po nadzwyczajnem podobieństwie do mojej matki a babki twojej poznałem że jesteś moją córką, gdybyś wtedy mogła była czytać w sercu mojem, nie potępiałabyś mnie, nie wątpiłabyś o mojem przywiązaniu... Niezwykłe przygniata mnie nieszczęście: miałem żonę i córkę, dziś jestem bezdzietnym wdowcem... Domawiając tych słów, pan Dawid potarł chustką oczy.

— Nie potępiam cię, ojcze, szepnęłam. Przykro mi było widzieć jego wzruszenie, jednak nie zdołało ono rozproszyć powstałych w mej duszy wątpliwości. Opowiedziana mi historya nie zdawała mi się nieprawdopodobną, i czułam to że skoro człowiek ten jest moim ojcem, obowiązek nakazywał mi zamieszkać u niego, zresztą pomimo mego przywiązania do kuzyna Ulryka, duma moja cierpiała nad tem że mając ojca komuś innemu zawdzięczam naukę i utrzymanie. Pan Dawid był bardzo, bardzo ubogi; sam powiedział mi to niejednokrotnie, a jednocześnie ja miałam do rozporządzenia więcej daleko pieniędzy, niż setki osób daleko starszych odemnie.

— Jeźliby... wyszeptałam, nieco pieniędzy jakie ja mam do rozporządzenia, mogły panu się przydać... niech cię to nie obraża... ale mam ich za wiele... przynajmniej względnie do moich potrzeb... więc...

— Jesteś dobrą i zdolną do poświęcenia córką, rzekł pan Dawid. Ciężko to ojcu przyjmować pomoc od dziecka, to też pieniądze twoje przyjmuje nie jako dar ale jako pożyczkę. Czy tylko rzeczywiście nie potrzebujesz tych pieniędzy? w każdym razie oddam ci jak będę mógł najprędzej, gdyż nie chciałbym nadużyć twojej szlachetnej hojności.

Włożyłam drżącą rękę do kieszeni, poczem woreczek mój z pieniędzmi prędko wsunęłam mu w rękę. W tej chwili uczułam całą niestosowność naszego stosunku, ale widać ojciec mój innego był zdania,—zajrzał do woreczka, przeliczył wzrokiem znajdującą się w nim summę, i z zadowolnieniem schował do kieszeni.

— Jakżeś ty szczęśliwa że masz tak wspaniałomyślnie hojnego przyjaciela! powiedział. Dobrze, niech tak pozostanie, moja córko, ty ciesz się szczęściem twojem, używaj go, a ojciec twój znosić będzie filozoficznie ciężką swoją dolę. Ale teraz muszę cię opuścić i zbliżyć się do innych *panien*, gdyż inaczej miss Little mogłaby być niezadowolnioną że je zaniedbuję. A! miłe to życie być na łasce starych panien całego świata, i obawiać się jadowitego ich języka... Bywaj zdrowa, moja córko, i pochyliwszy się niby nad rysunkiem, pocałował mnie w czoło.

Och! jakże ta niby rodzicielska pieszczota paliła czoło moje do końca tego dnia! Musiałam ze sto razy powtórzyć sobie że to pocałunek ojca, aby nie uledz pokusie starcia go z mego czoła choćby wodą z mydłem.

XV.

Jeszcze dalszy ciąg dziennika Dory.

Tak więc nastąpiło nareszcie pożądane wytłomaczenie, ale nie zadowolniło mnie bynajmniej ani nie uspokoiło. Rozważałam w myśli opowiedzianą mi przez pana Dawid'a historyę, a choć nie mogłam dopatrzeć w niej nieprawdopodobieństwa, jednakże powstawało we nie uczucie niepokoju i oburzenia wyradzające się w duszy gdy ktoś chce narzucić nam jako artykuł wiary, rzecz całkiem sprzeczną ze świadectwem naszych zmysłów.

Opowiedziana mi historya nie była niemożliwą, była nawet prawdopodobną, a jednak nie dowierzałam temu, gdyż jeden szczególniej fakt ciągle nasuwał mi się na myśl pozostając nierozwiązaną zagadką. Skoro, jak mówił pan Dawid, w ostatnich latach życia matki mojej nie pisywał nawet do niej, z obawy o swe osobiste bezpieczeństwo, z czegóż więc utrzymywałyśmy się w Saltpool?

(d. c. n.)

Opis do N-ru 43.

(Dokończenie).

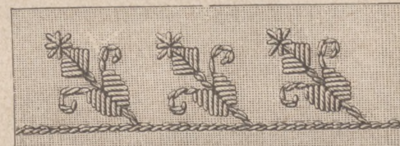
Denko muślinowe liczące 34 cent. średnicy założone na środku w kontrafałdę a z boków w równe fałdki przyszywa się do paska a na szwie przewiązane jest wstążką blado niebieską, 5 cent. szeroką z boków złożoną we dwoje. Na muślinowe kokardy podpięte podług ryc. 19 potrzeba kawałków muślinu po 9 cent. długich a 11 szerokich, oszytych koronką, złożonych we dwoje tak aby koronka była widoczną i ułożonych podług ryc. 19; węzły środkowe dane ze wstążki.



N. 1 — 3. Ubrania dla małych panienek.

N. 1—2. Sukienka formą princesse ozdobiona sznurami z okuciem.

N. 3. Sukienka princesse wycięta do gorsu.



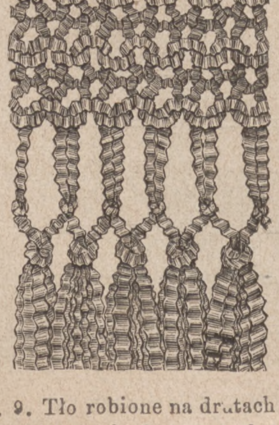
N. 4. Szlaczek do fartuszków, kołnierzyków i t. p. Haft płaski.



N. 5. Suknia ze stanikiem z bawetową baskiną i draperyą tunikową.

N. 20. Burnus z kapturkiem. Patrz rycina 23 w N-rze 42.

Podawaliśmy już w tegorocznych N-rach modele okryć odrobionych z chustek; burnus jaki dziś załączamy na ryc. 20 jest także przykrojony z chustki w kratę, liczącej w kwadrat 155 cent. Na ryc. 23 w N-rze 42 wskazujemy w jaki sposób wykroić burnus i kapturek. Burnus jest zrobiony bez szwu, tylko zaszywa się na ramionach odpowiednio do figury; kapturek także jest z jednego kawałka: górny brzeg okrągławo podcięty jest kilkakrotnie przemarszczony, boczne proste brzegi założone są w fałdę (krzyżyk składając do kropki) kończącą się śpiczasto, którą można zaszyć a materyał wyciąć.



N. 9. Tło robione na drutach i frendzla z karbowanej plecionki do pelerynki ryc. 32.

Wykrój szyi wraz z kapturkiem obszyty skośną listewką. Przybranie burnusa stanowi frendzla odcięta od chustki 6—8 cent. szeroka i sznur z kwastami.

N. 21. Okrycie z pelerynowemi rękawami. Krój jak do ryc. 12 w N-rze 27.

Odrobione jest z chustki w dużą kratę, podług powyżej wskazanego kroju, z małemi tylko zmianami. Przody i plecy trzeba krajać dłużej, ponieważ tu nie ma falbany; model liczył z przodu 93 cent. z tyłu 106 cent. długości a obwodu dolnego 164 cent. Rękawy tworzące z tyłu pelerynę ścięte są podług ryc. 21. Kapturek prostą formą niewymagającą oddzielnego kroju, zszyty środkiem z tyłu brzegami skośnemi, liczy 39 cent. długości, u dołu przy

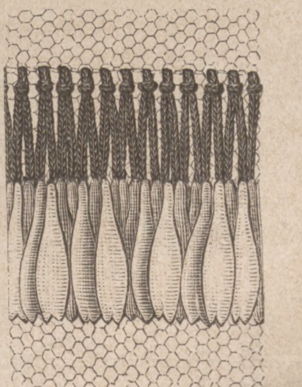


N. 6. Suknia z paletocikowym stanikiem. Przód na rycinie 24 w N-rze 22.

fałdowanym brzegu 48 cent.; boki wyłożone są na 9 cent. brzeg górny przy szyi jest zupełnie gładki. Sznur szmuklerski z kwastami zakończa kapturek. Chustka odpowiednia na to okrycie powinna mieć 176 — 185 centym. w kwadrat.

N. 23 — 24. Spódniczka włóczkowa dla małej dziewczynki.

Niezmiernie łatwa robota, której próbkę przedstawia w naturalnej wielkości ryc. 24, nie wymaga szczegółowego opisu. Długość spódniczki ryc. 23, wynosi 35 c., obwód dolny 82; robota zaczyna się od góry na 112 oczek, z początku robi się tam i napowrót dla zostawienia rozporka, dalej zaś robota idzie w około. Ząbki tła li-



N. 10. Złote grelotki przy frendzli z jedwabnego sutaszu na tiulu do pelerynki ryc. 33.



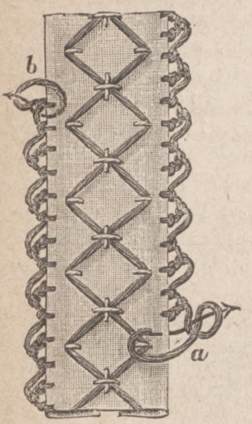
N. 7. Suknia z odmiennym stanikiem

N. 8. Suknia ze stanikiem skośnie zapiętym.

czą po 5 sł. a każdy ząbek przedzielony 1 o. śc., szlak stanowią naprzemian robione ząbki białe i kolorowe.

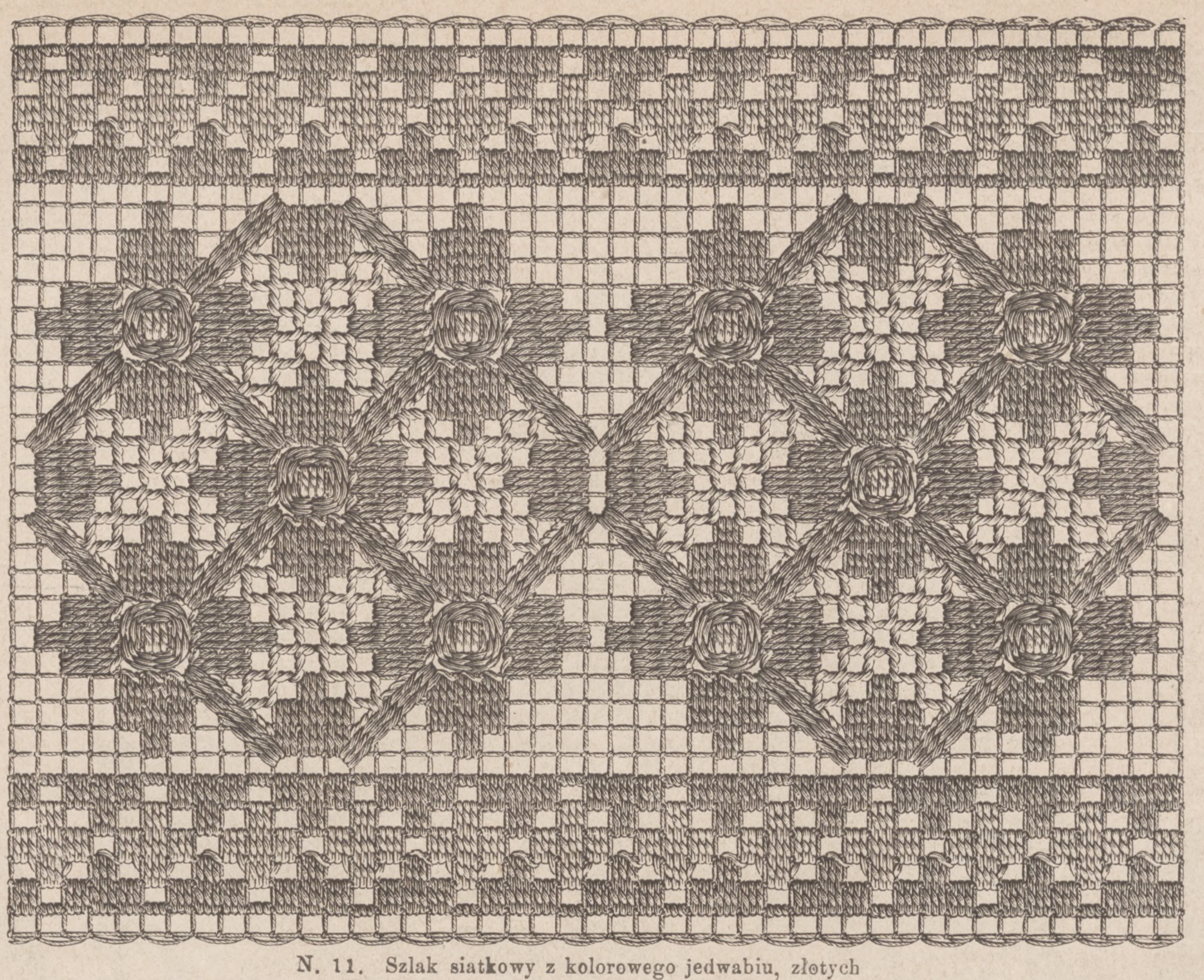
N. 25—27. Kaftaniczek szydełkowy.

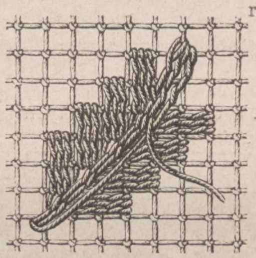
Odrobiony jest ściegiem

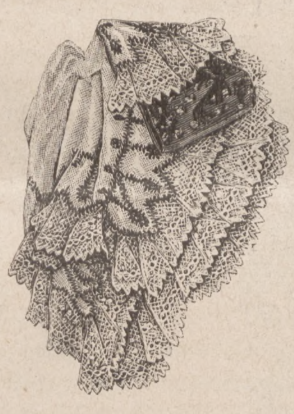


N. 16. Szlaczek do ryc. 15.

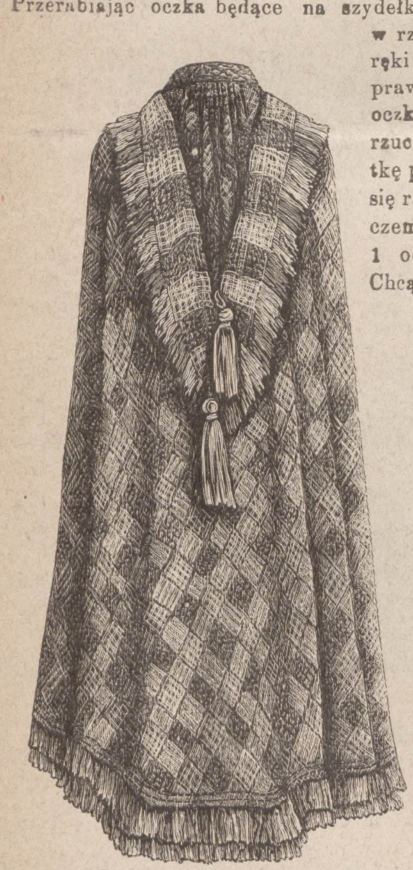
tunetańskim, którego daliśmy próbkę w naturalnej wielkości na ryc. 26; robotę trzeba wykonywać bardzo luźno. W każdym rzędzie idącym od ręki prawej ku lewej trzeba najpierw nitkę roboczą zarzucić dwa razy na szydełko; pierwsze zarzucenie zostaje nieprzerobione, drugie zaś przeciąga się przez dwa oczka poprzedniego rzędu, jak to wskazuje strzałka na ryc. 26. Zaczynając robotę szydełkową dwa koło siebie będące oczka przeciąga się jedną pentelką. Przerabiając oczka będące na szydełku to jest w rzędach od ręki lewej ku prawej, jedno oczko i zarzuconą nitkę przerabia się razem poczem robi się 1 ocz. pow. Chcąc brzegi przednie kaftanika mieć równe trzeba na końcu każdego rzędu przerobić jedno o. podwójne a co drugi rząd przed ostatnim robić 2 o. pow. które przy przerabianiu oczek przewłóczą się jedną pentelką wraz z ocz. podwójnem. Kaftanik zaczyna się od dołu łańcuszkiem ze 118 o. wynoszącym 68 centym. długości. Przerobiwszy 18 rzędów, rozdziela się na trzy części, zostawiając na przody po 14 podwójnych oczek a w środku na plecy 21 o. Pacha i wykrój szyi nadaje się tak jak przy innym rodzaju ściegu, przykładając do formy lub mierząc podług figury. Ramiona łączą się od lewej strony jednym rzędem łańcuszkowym, a wykrój szyi obrabia dwoma rzędami o. śc. Brzegi kaftanika obrabiają się z lewej strony jednym rzędem tunetańskiej zwykłej roboty, który z prawej strony stanowi jakby sznureczek grubo się odznaczający. Ząbki szydełkowe zdobiące brzegi podajemy w naturalnej wielkości na rycinie 27.


N. 11. Szlak siatkowy z kolorowego jedwabiu, złotych i srebrnych nici ryc. 12 — 14.


N. 12. Wyszycie listka na tle szalika ryc. 20 w N-rze 42.


N. 18. Negliżyk upięty z chusteczki.


N. 19. Negliżyk z kokardami z muślinu i wstążki.


N. 20. Burnus z kapturkiem. Patrz ryc. 23 w N-rze 42.


N. 15. Pokrycie na doniczkę. Robota fantazyjna ryc. 16-17.

N. 28 — 29. Poduszka do kanapy.

Odznacza się nowem

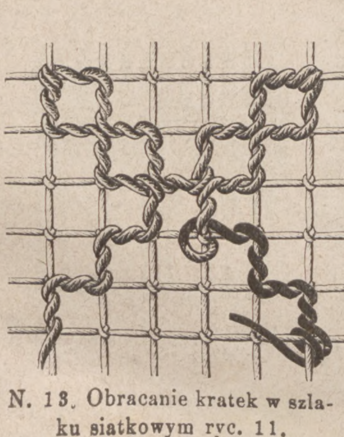

N. 17. Szlaczek z armeńskiemi ząbkami.

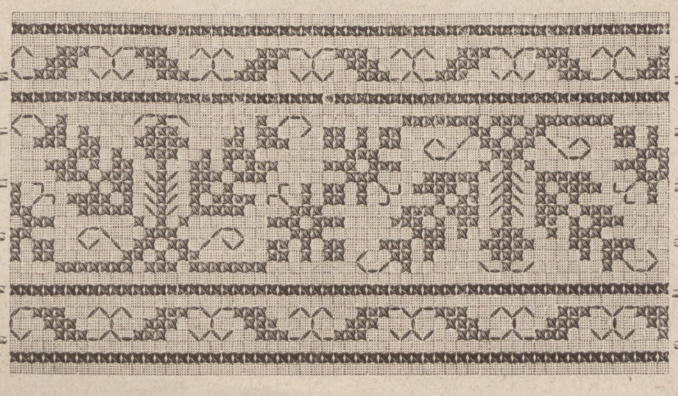
wykończeniem i niezmiernie efektownym haftem, którego czwartą część załączamy w naturalnej wielkości na ryc. 29. Tło stanowi ciemno oliwkowy plusz jedwabny, podklejony grubem płótnem, rozpięty do roboty w krosienkach. Najpierw aplikują się aksamitne i atlasowe części deseniu; pod haft płaski podkłada się wszędzie grubą tekturę tak jak przy hafcie złotym. Narożnik zajmuje arabeska wyszyta wprost na tle sznureczkiem złotym i jedwabnym ciemno ponsowym i piaskowym. Wyżej aplikowana figura atlasowa na której odznacza się w dolnej połowie haft sznelą, w górnej zaś haft płaski blado niebieską filozelą trzynitkową. Sznelka i atlas są do cieniu w jednym kolorze; brzegi haftu otacza sznurek piaskowy. Nie opisujemy szczegółowo kolorów użytych w naszym hafcie, ponieważ tu opis nie wystarcza a niezbędny jest gust osobisty. Wysłanie poduszki z boków i przepięcie szmuklerskiemi kwastami wymaga również dużej wprawy, dla tego najlepiej oddać tapicerowi.

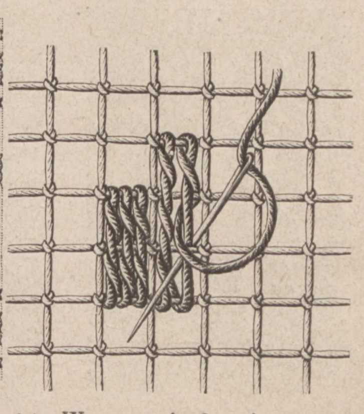

N. 21. Okrycie z pelerynowemi rękawami. Patrz ryc. 12 w N-rze 27.

N. 32 i 9. Pelerynka na koncert lub do teatru. Robota na drutach i frendzla z karbowanej wstążeczki. Krój na arkuszu do N-ru 40 i 41 patrz Nr XIII. Fig. 65.

Pelerynka ta stanowi wytworne dopełnienie strojnego ubrania na koncert lub do teatru; odrobiona jest na drutach z białej karbowanej wstążeczki i zdobna takąż frendzlą, riuszą i koronką. Rycina 9 wskazuje w naturalnej wielkości próbkę roboty tła wraz szersza wstążeczka.

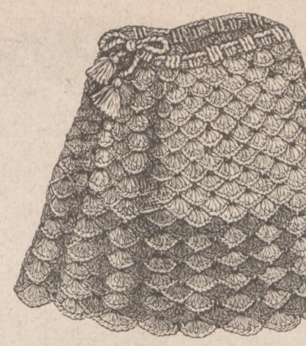

N. 13. Obracanie kratek w szlaku siatkowym ryc. 11.


N. 22. Szlaczek wyszyty krzyżykami.


N. 14. Wyszywanie deseniu na siatce, do ryc. 11.

spajanych 5-ioma rzędami roboty szydełkowej z o. pow. i śc. Rycina 4 przedstawia próbkę roboty w połowie naturalnej wielkości, z niej widzimy w jaki sposób torsadka obrobiona jest szydełkiem; każdy ząbek liczy 21 pentelek, dalszy ciąg objaśnia rycina 4

Robota zaczyna się od dolnego brzegu jednym rzędem siatki na wałeczku mającym 2 cent. obwodu. Tasieneczka na której przyrabia się siatka powinna liczyć 250 centym. długości, gdyż później stanowi ona brzeg do którego wiąże się frendzla; na tej tasiemeczce przyrabia się 122 o. siatki które rozsuwa się zupełnie równo poczem oczka nabiera na drut drewniany i robi gładko tam i napowrót. Podług formy przykrojonej podług Fig. 65 dopasowywa się pelerynkę, gubiąc odpowiednio z boków. W 33 rzędach roboty (stanowiących tylną długość pelerynki, gubi się 66 o., t. j. po 2 w rzędzie przez co ostatni rząd liczy tylko 56 o. Górny brzeg pelerynki wszyty w wązką listewkę, 77 cent. długą, przykrytą sutą riuszą z kolorowej tasiemeczki. Przyozdobienie pelerynki stanowi naszyta dwa razy na tle koronka 7 cent. szeroka i frendzla równej szerokości.



N. 23. Spódniczka szydełkowa. Patrz tło na ryc. 10.



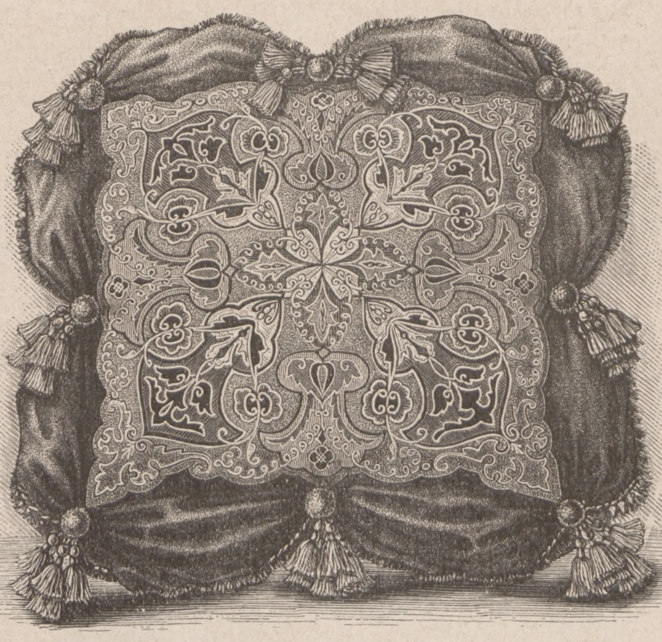
N. 24. Robota szydełkowa do ryc. 23. Wielkość naturalna.



N. 25. Kaftaniczek szydełkowy. Patrz ryc. 26 i 27.



N. 26. Wskazanie roboty szydełkowej do ryc. 25.



N. 28. Poduszka do kanapy! Deseń haftu na ryc. 23.

N. 36. Stanik trykotowy „Jersey“ albo „Surcot Véronese“ z kapturkiem.

Obecnie bardzo wchodzą w użycie stanika bez szwu tkane fabrycznie podług miary; robią je zapinane z przodu lub z tyłu albo też nierozciąnane do kładzenia przez głowę. Wykrój szyi i brzeg rękawów jest mniej lub więcej ozdobiony haftem, pasmanteryą, kołnierzem aksamitnym albo atłasowym gładkim lub haftowanym. Do ubrania spacerowego stanik taki ma dodany kapturek przypinany na haftki, do którego najmodniejsze jest ponsowe wyłożenie w środku.



N. 27. Ząbki szydełkowe do ryciny 25.

Spódnica do takiego stanika może być kaszmirowa lub jedwabna z tuniką zachodzącą pod stanik lub z draperyą przyczepioną brzegiem z zwierzchu stanika. Dodamy tylko, że stanik Jersey lub Surcot Veronese zwany, powinien być tego koloru co suknia.

N. 33 i 10. Pelerynka ze złotemi grelotkami.

Stanowi ona oryginalną nowość i odpowiednia jest jako dopełnienie ubrania do teatru lub na koncert; odrobiona na podstawie z czarnego tiulu liczy z przodu 21, z tyłu 23 cent. długości, a 138 dolnego obwodu; cała naszyta jest rzędami cieniutkiej czarnej jedwabnej frendzli przy której wiszą złote grelotki, jak to w naturalnej wielkości rycina 10 wskazuje. W około szyi dany czarny łabędzi puszek; pelerynka związana repsową czarną wstążką.

N. 35. Chusteczka szydełkowa, ryc. 4 w N. 42.

Liczy bez koronki 9 c. szerokiej 151 cent. w kwadrat i składa się z pasów torsadki na widełkach.



N. 29. Czwarta część deseniu na poduszkę rycina 28.

Opis do N. 44.

N. 1—2. Ubrania ślubne.

N. 1. Ubranie ślubne dla wdowy niezbyt młodej.

Suknia aksamitna z długim trenem, formą princesse ozdobiona przez całą długość przodu, kosztownemi metalowemi albo złotemi guziczkami, przy wykroju szyi, rękawach i u dołu, ogarniowana koronką. Na głowie szalik

z wypustkami i szarfą ze szkockiego atłasu, z którego może być także dana skośna wązka plisa, u dołu spódniczki, w około ułożonej w podwójne kontrafałdy. Krótkie vetement kraje się skośnie podług formy Nr II. Do przodów dodaje się potrzebną ilość materyału, na przemarszczenia nad wcięciem w pasie i w odstępie 11 cent. od dołu; na ramionach zbywający materyał zaszywa się w dwie równe fałdy. Przy zwierzchniej połowie przodu, dodaje się listewkę 4 cent. szeroką, z atłasowemi wypustkami, w której obrabia się dziurki do guzików. Kieszonkę podszywa się od spodu, a przecięty otwór przykrywa patka przemarszczana. Od Q—R, boczki w małą fałdę założone, zachodzą na plecy, które w środku zeszywa się tylko do T. Cienkim atłasowym rulonikiem odznaczone są na boczkach dziurki, na których przyszywa się guziczki. Model do ryc. 9 odrobiony był z cienkiego, szkockiego, pledowego materyału, z wązkiemi wypustkami z ponsowego atłasu Guziczki małe złote.



N. 30. Uczesanie w pukle.

koronkowego 30—40 cent. szeroki a 200 — 250 długi, przyozdobiony białemi różami.

N. 2. Ubranie ślubne dla młodziutkiej osoby.

Suknia muślinowa ze stanikiem bluzkowym, garnirowana dziesięcioma wązkiemi, drobno plisowanemi falbankami na podwleczeniu z materyi lub także z muślinu. Pasek atłasowy spięty z boku kokardą i bukiecikiem. Wianek mirtowy. Welon z jedwabnego tiulu z przodu przechodzący za wcięcie w stanie, z tyłu sięgający do obrębu sukni, całą osobę otacza lekkim obłokiem.

N.3 i ryc. 9 w N.45. Sukienka z vetement dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu Nr II. Fig. 9—14.

Na rycinie 3 podajemy sukienkę z białego kaszmiru



N. 31. Uczesanie w warkocze.

N. 10 — 11. Sukienka z haftowanym plastronem dla dziecka rocznego. Krój i deseń N. V, Fig. 29—31.

Model odrobiony był z białego cienkiego perkalu, a przód haftowany różową, dobrą do prania turecką bawełną. Na Fig. 29 podajemy formę połowy plastronowego przodu i połowę deseniu, który może być robiony bawełną białą, haftem angielskim. Do pleców i boczków przykrojonych podług Fig. 30, dodaje się prostą część spódniczkową, mającą 35 cent. długości a 114 szerokości. Na Fig. 32 podany jest deseń szlaczku do wykroju szyi i rękawów.

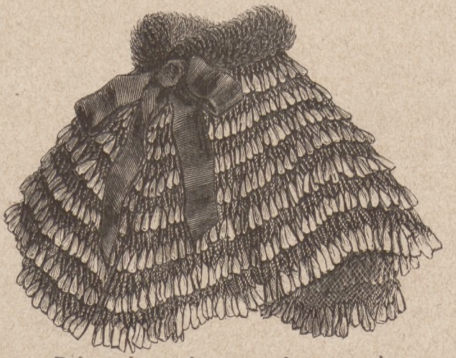
N. 12. Pończoszki fabryczne dziecinne, wełniane, które do sukienki szkockiej lub ciemnej gładkiej, mogą być noszone. *(d. n.)*



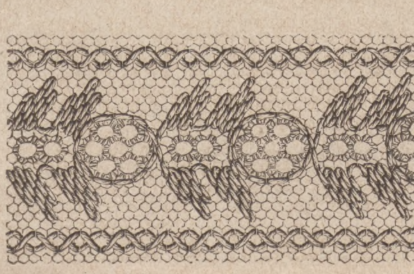
N. 32. Pelerynka na koncert lub do teatru i t. p. Robota z karbowanej tasiemki na drutach. Patrz ryc. 9.



N. 35. Chustka szydełkowa. Próbka roboty w połowie wielkości na ryc. 4 w N-rze 42.



N. 33. Pelerynka na koncert, do teatru i t. p. naszyta z frendzli z grelotkami na tle tiulowem. Patrz ryc. 10.



N. 34. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 36. Stanik trykotowy „Jersey“ albo „Surcot Véronese.“